

**ZESKANUJ KOD QR,
ABY POSŁUCHAĆ
NOWEGO ODCINKA PODCASTU
„TWOJE OKNO NA ŚWIAT”!**



Samotność ze zjawiska dotyczącego głównie osób starszych stała się jednym z najpoważniejszych problemów społecznych XXI wieku. Coraz częściej dotyka ona młodych ludzi. Dlaczego to ta grupa najczęściej odczuwa przewlekłą samotność? Jakiej są tego konsekwencje? Zachęcamy do przeczytania artykułu na stronie **8** ósmej.

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 122 | STYCZEŃ/LUTY 2026

Donald Trump pogromcą NATO?

Nowy rok, zamiast oczekiwanej odwilży po trudnym 2025, przyniósł kolejne międzynarodowe napięcia. Prezydent USA Donald Trump, mimo noworocznych życzeń pokoju na świecie, zdążył dokonać interwencji w Wenezueli, a także wielokrotnie zagrozić Danii. Nie łagodzi też i tak już napiętej sytuacji niepochlebnymi komentarzami na temat zasadności funkcjonowania Sojuszu Północnoatlantyckiego z perspektywy amerykańskiej. Pozostali sojusznicy stoją przed trudnym wyborem: przyjąć dyktat USA czy stawić opór?



Prezydent Trump przywrócił do życia amerykański imperializm rodem z II połowy XIX wieku.

NATO potrzebuje nas dużo bardziej niż my NATO” – stwierdził 11 stycznia w kontekście kryzysu arktycznego prezydent USA. Członkowie Paktu mogli czuć się jednak niepewnie jeszcze przed zaostrzeniem sytuacji związanej z Grenlandią. Donald Trump przez większość swojej aktywności politycznej atakował Sojusz. W niektórych swoich wypowiedziach podważał nawet zasadność ochrony Europy przed Federacją Rosyjską. Pod koniec roku, administracja Stanów Zjednoczonych opublikowała nową strategię bezpieczeństwa narodowego. Zakłada ona podział świata według stref wpływów, a także większą nieufność wobec organizacji międzynarodowych. Atakuje także politykę Unii Europejskiej. Pod ostrzałem znalazła się m.in. unijna polityka migracyjna i europejskie

”Grenlandia jest duńskim autonomicznym terytorium zależnym. Od dawna stanowiła sól w oku amerykańskich polityków. Rząd USA od czasów Zimnej Wojny przywiązywał dużą wagę do wyspy w kontekście obronnym. Teren arktyczny dla Stanów Zjednoczonych próbował pozyskać prezydent Harry Truman, oferując Danii 100 milionów dolarów. Obecnie znaczną uwagę temu terytorium poświęca cała administracja urzędującego prezydenta.

regulacje gospodarcze. Wszystko to poważnie podważyło jedność Zachodu.

Arktyczna awantura

Grenlandia jest duńskim autonomicznym terytorium zależnym. Od dawna stanowiła sól w oku amerykańskich polityków. Rząd USA od czasów Zimnej Wojny przywiązywał dużą wagę do wyspy w kontekście obronnym. Teren arktyczny

dla Stanów Zjednoczonych próbował pozyskać prezydent Harry Truman, oferując Danii 100 milionów dolarów. Obecnie znaczną uwagę temu terytorium poświęca cała administracja urzędującego prezydenta. Ameryce nie wystarcza już obecność własnego wojska, jest zainteresowana wcieleniem autonomicznego terytorium do swoich granic. Do tego dochodzi kwestia przejęcia grenlandzkich złóż ziem rzadkich

oraz innych surowców. Topniejące lodowce częściowo ułatwiają dostęp do cennych minerałów. „Naprawdę potrzebujemy tytułu do ziemi, jak mówią w świecie nieruchomości” – określił swoje stanowisko przywódca USA. Jednym z głównych argumentów stosowanych przez Waszyngton jest niewystarczająca siła Kopenhagi do obrony wyspy przed Rosją lub Chinami.

Politycy zdają się nie przejmować traktatami międzynarodowymi. Gdy oferty zakupu wyspy nie przyniosły rezultatu, na wszelkich konferencjach z udziałem amerykańskiej administracji realnie stały się groźby ataku i przejęcia wyspy siłą. Marco Rubio po fiasku rozmów z Ministerstwem Spraw Zagranicznych Danii stwierdził, że operacja militarna jest możliwa. Polska Agencja Prasowa poinformowała, iż sekretarz stanu zapytany o ryzyko rozpadu NATO nie udzielił uspokajającej odpowiedzi. „Każdy prezydent za-

wsze zachowuje opcję użycia siły” – odpowiedział dziennikarzom. I choć podkreślił on przy tym wagę dyplomacji, to kontrastuje to z jego wcześniejszymi wypowiedziami, w których przeważała chęć pokojowego rozwiązania sytuacji. Według „New York Times” Rubio poinformował członków amerykańskiego Kongresu, że Trump preferuje rozwiązanie finansowe, zamiast militarnego.

Zbrojne wtargnięcie na terytorium innego członka NATO (jakim jest Dania) stanowiłoby kompletne zaprzeczenie fundamentalnym zasadom, które budują Sojusz. „Myślę, że amerykańscy wojskowi dowódcy wybiją z głowy administracji cywilnej tego rodzaju działania. Bo wtedy byśmy mówili o końcu NATO – takiego, jakie znamy dzisiaj” – stwierdził na łamach Polskiego Radia 24 dr Przemysław Kwiatkowski,

dokończenie na str. 2

Donald Trump pogromcą NATO?

dokończenie ze str. 1

specjalista w tematyce stosunków międzynarodowych. Pod uwagę nie jest również brany przez Amerykanów lokalny rząd Grenlandii. Władze wyspy ewidentnie nie są zainteresowane aneksją przez USA. „Jeśli mamy wybierać między USA a Danią, to wolimy być częścią Królestwa Danii” – jednoznacznie stwierdził premier Grenlandii Jens-Frederik Nielsen po rozmowach z premierką Danii, Mette Fredriksen.

Niektórzy politycy starają się załagodzić sytuację. Część Kongresu, w tym ledwie kilku Republikanów, stara się zablokować agresywną politykę. „Kyiv Post” poinformował, iż Partia Demokratyczna przedstawiła w izbie projekt wymierzony w działania administracji prezydenta. Ustawa ma mieć moc zablokowania podjęcia jakichkolwiek działań zaczepnych wymierzonych w sojusznika. Donald Trump zdaje się jednak nie zważać na sprzeciw kongresmanów i kontynuuje swoją retorykę względem Danii oraz jej terytoriów zależnych.

Zjednoczenie Starego Kontynentu

Europa w większości wydaje się zgodnie opowiadać przeciwko amerykańskim planom przejęcia wyspy. Dania zwiększyła obecność swoich wojsk, a także zarządziła ćwiczenia militarne. W owych manewrach udział mają wziąć żołnierze z wielu państw europejskich. W ich gronie znajdziemy m.in. Niemcy albo Francję. Wysłanie swoich sił rozważa nawet niesłyszana z potęgi militarnej Estonia (przy czym należy podkreślić, że żaden z sojuszników nie odelegował do tej pory znaczących pod względem liczebności sił). Zachowawczą politykę stara się prowa-



Premier Grenlandii, Jens-Frederik Nielsen, zadeklarował, że jego kraj woli dalsze związki z Danią od przyłączenia do USA.

dzić rząd Donalda Tuska. Polski premier na konferencji prasowej stwierdził, że „próba zaboru terytorium państwa, które jest członkiem NATO przez drugie państwo, które jest członkiem NATO, i to są w dodatku Stany Zjednoczone, to byłby koniec takiego świata, jaki znamy i który nam przez dziesięciolecia gwarantował bezpieczeństwo”. Z drugiej strony premier wykluczył jednak możliwość obecności polskich wojsk na Grenlandii.

Oczywiście żaden z europejskich przywódców nie jest w stanie wyobrazić sobie konfliktu z USA. 17 stycznia Donald Trump zagroził nałożeniem nowych cel na kraje europejskie. Dalsze trwanie kryzysu wokół Grenlandii nie sprzyja realizacji celów polityki europejskiej. Im

„Wobec wyczerpywania się formuły atlantycznej największy problem stoi przed Europą. Przywódcy Starego Kontynentu muszą się zastanowić, czy dalsze opieranie swojego bezpieczeństwa na USA ma sens. Przede wszystkim zaś – czy chcą zachować jakąkolwiek podmiotowość na arenie międzynarodowej.

dłużej oczu amerykańskich polityków są zwrócone na Nuuk, stolicę Grenlandii, tym mniejsza uwaga Stanów Zjednoczonych jest poświęcona sprawom związanym ze wschodnią flanką NATO, a także sytuacją na Ukrainie. W tym kontekście szczególnie alarmującym sygnałem jest stosunek prezydenta USA do przywódcy Ukrainy. „Po prostu uważam, że jest mu trudno dojść do tego

miejsca” – tak Donald Trump ocenił dążenia Wołodimira Zełenskigo do zawarcia pokoju.

Sytuacja ta jest korzystna dla prezydenta Rosji, Władimira Putina. Tarcia w NATO są wymarzoną scenariuszem dla Moskwy. Na ten temat wypowiedział się dla CNBC Jamie Shea, ekspert do spraw obrony i bezpieczeństwa międzynarodowego w think tanku Chatham House.

Prezydent Rosji „byłby zachwycony, widząc dalsze podziały i niespójność w NATO oraz potężny kryzys transatlantyczny, który mógłby skłonić USA do zaprzestania wspierania Ukrainy i wycofania wojsk amerykańskich z Europy”. Dla CNBC wywiadu udzielił również Edward R. Arnold, pracujący naukowo dla brytyjskiego think tanku RUSI, który stwierdził, że gdyby aneksja Grenlandii stała się realna, oznaczałoby to, że „NATO w rzeczywistości samo się politycznie pochłonie”.

Zasłona dymna

Ostatnie miesiące nie były okresem, który urzędująca administracja USA będzie wspominać z uśmiechem na twarzy. Składa się na to jesieńna blokada finansowania federalnego, afera Epsteina czy sukcesy Demokratów w lokalnych wyborach. Druga główna partia w Stanach Zjednoczonych złapała wiatr w żagle. To wszystko nie wpływa pozytywnie na pozycję prezydenta. Wedle sondażu przeprowadzonego dla CNN, aż 63% Amerykanów negatywnie ocenia działania przywódcy USA. Republikanie mają czego się obawiać przed wyborami połówkowymi do Kongresu.. Donald Trump mógł liczyć na to, że agresywne posunięcia międzynarodowe i prognozowane szybkie zwycięstwa podreperują sondaże.

Mogło to być jedną z przyczyn interwencji w Wenezueli i rozpętania arktycznego kryzysu. Tak się jednak nie stało. Według agencji Reuters i firmy Ipsos pomysł przejęcia Grenlandii cieszy się poparciem tylko 17% amerykańskiego społeczeństwa. Do tego od polityki prezydenta Trumpa odwracają się już nawet niektórzy Republikanie.

Sytuacja pozostaje bardzo napięta. Analizując działania podejmowane przez rząd Stanów Zjednoczonych, można dojść do wniosku, że powojenny ład międzynarodowy, oparty na sile oraz jedności Sojuszu Północnoatlantycznego, chwieje się na naszych oczach. Donald Trump z pewnością spogląda już w stronę jesiennych wyborów połówkowych. Zapewne będzie chciał zakończyć problem Arktyki najszybciej, jak się da. Do tego dochodzi napiętnowanie się problemów międzynarodowych. Iran, Kuba czy Kolumbia nie pozostają obojętne ani dla administracji, ani dla opinii publicznej. Może to oznaczać większą śmiałość w działaniach w różnych częściach świata. Wobec wyczerpywania się formuły atlantycznej największy problem stoi przed Europą. Przywódcy Starego Kontynentu muszą się zastanowić, czy dalsze opieranie swojego bezpieczeństwa na USA ma sens. Przede wszystkim zaś – czy chcą zachować jakąkolwiek podmiotowość na arenie międzynarodowej.

Jakub BALIŃSKI



Parlament Europejski może zablokować porozumienie z USA w sprawie wzajemnych cel.

Współcześnie dominacja jednego państwa nad drugim rzadko oznacza bezpośrednią aneksję czy stałą obecność militarną. Jej głównymi narzędziami stały się kontrola przepływu surowców, sankcje oraz reżimy prawne. Retoryka moralnej wyższości służy legitymizowaniu ingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw. Przypadek Wenezueli wpisuje się w ten mechanizm, a stawką jest możliwość decydowania o dostępie do jej zasobów i zasadach ich eksploatacji.

Będziemy rządzić Wenezuelą do czasu pokojowej transformacji” – oświadczył Donald Trump po wydarzeniach z początku 2026 roku, które ponownie postawiły pytanie o granice suwerenności i interwencji w systemie międzynarodowym. Stany Zjednoczone, powołując się na walkę z przestępczością, zastosowały presję ekonomiczną i przeprowadziły operację sił specjalnych, w wyniku której zatrzymano prezydenta Nicolasa Maduro i jego żonę oraz przetransportowano ich do Nowego Jorku. Mają oni odpowiadać przed sądem za prowadzenie międzynarodowego kartelu narkotykowego oraz terroryzm finansowany z zysków pochodzących ze sprzedaży ropy. Działania te wywołały poważne kontrowersje polityczne i prawne, szczególnie w kontekście prawa międzynarodowego oraz roli surowców energetycznych w Wenezueli.

Domek z kart

Wenezuela jest państwem surowcowym, w którym ropa stanowi około 96% jej dochodów z eksportu; mimo największych na świecie rezerw (około 300 mld baryłek), jej znaczenie rynkowe jest ograniczone z powodu dominacji ropy ciężkiej i ekstra ciężkiej. Produkcja spadła z około 3 milionów baryłek dziennie do poniżej 1 miliona, czyli mniej niż 1% globalnej podaży. Stany Zjednoczone planują rafinację i sprzedaż do 50 milionów baryłek wenezuelskiej ropy, co umożliwiłaby długa historyczna współpraca obu państw przed nastaniem rewolucji boliwariańskiej, jak i możliwości rafinerijne USA. Wcześniej Wenezuela kupowała lżejszą ropę z USA i wykorzystywała ją do mieszania ze swoją w celu sprzedaży i transportu. Po wprowadzeniu przez USA sankcji Wenezuela została

Ropa osią polityki?



Rządy Nicolasa Maduro w Wenezueli zostały przerwane przez USA.

”Zatrzymanie prezydenta nie wywołało masowych protestów w kraju; jego pojmanie świętowali głównie Wenezuelczycy na emigracji.

W samej Wenezueli odbyły się zarówno manifestacje przeciwko interwencji USA, jak i osób zadowolonych z odsunięcia Maduro, choć nawet one postrzegały działania Waszyngtonu jako zagrożenie dla suwerenności.

zmuszona do importowania jej z Iranu.

Dla zrozumienia obecnej sytuacji w Wenezueli kluczowe są rządy Hugo Cháveza, który po nieudanym zamachu stanu z 1992 roku objął władzę w 1999 roku, inicjując rewolucję boliwariańską. Projekt „Socjalizmu XXI wieku” opierał się na redystrybucji dochodów z ropy, wysokim opodatkowaniu elit, nacjonalizacji kluczowych sektorów gospodarki i rozbudowie praw socjalnych. Według danych z „The Guardian”, w okresie wysokich cen surowców, odnotowano spadek ubóstwa i ponad dwukrotny wzrost PKB per capita, jednak model ten okazał się nietrwały. Fiskalna niewydolność państwa, erozja liberalnych instytucji, korupcja w państwowym potentacie petrochemicznym PDVSA, zaniedbania infrastrukturalne i sankcje doprowadziły do załamania sektora naftowego i głębokiego kryzysu społeczno-gospodarczego. Ropa zamiast fundamentem suwerenności i rozwoju, stała się źródłem strukturalnej zależności.

Po śmierci Cháveza władzę przejął Nicolas Maduro, nieuznawany przez część społeczności międzynarodowej na skutek wielo-

krotnych fałszerstw wyborczych. Jego rządy zbiegły się z gwałtownym załamaniem gospodarki, hiperinflacją, niedoborami towarów pierwszej potrzeby oraz nasileniem represji wzmocnionymi sankcjami Zachodu. Kryzys, prześladowanie opozycji, terror służb wobec opozycji i społeczeństwa, brutalne tłumienie protestów, doprowadziły do emigracji około 8 milionów osób. Przed wyborami w 2024 roku zablokowano kandydaturę liderki opozycji Mariny Coriny Machado, a protesty po ogłoszeniu zwycięstwa Maduro zostały brutalnie stłumione. Spadek cen ropy, od której uzależniona była gospodarka pozbawiona rezerw walutowych, ujawnił strukturalną niewydolność państwa.

Wątpliwe błogosławieństwo

Presja na Wenezuelę rozpoczęła się w październiku 2025 roku, gdy Trump upoważnił CIA do tajnych operacji w Wenezueli i zagroził atakami przeciwko „narko-terrorystom”. Wprowadził także „całkowitą blokadę morską” wszystkich objętych sankcjami tankowców, a USA rozmieściły znaczne siły wojskowe na Karaibach. Ropa, stanowiąca ponad 95% eksportu kraju,

stała się narzędziem nacisku i kartą przetargową w negocjacjach międzynarodowych. Trump podpisał też rozporządzenie, które traktuje fundusze ze sprzedaży wenezuelskiej ropy na kontach USA jako suwerenną własność Wenezueli, niepodlegającą roszczeniom innych podmiotów. Trudno jednak mówić o rzeczywistej suwerenności, gdy zewnętrzna siła kontroluje surowce i decyduje, na co mogą być wydawane środki z ich sprzedaży. A ropa staje się narzędziem zarówno presji gospodarczej jak i symbolicznym elementem kontroli politycznej.

Zatrzymanie prezydenta nie wywołało masowych protestów w kraju; jego pojmanie świętowali głównie Wenezuelczycy na emigracji. W samej Wenezueli odbyły się zarówno manifestacje przeciwników interwencji USA, jak i osób zadowolonych z odsunięcia Maduro, choć nawet one postrzegały działania Waszyngtonu jako zagrożenie dla suwerenności. Reakcje międzynarodowe były krytyczne: sześć państw, w tym Hiszpania, Brazylia i Meksyk, potępiło „niebezpieczny precedens ataku na inne państwo” oraz zapowiadając kontrolę nad produkcją ropy, podkreślając, że „żadne trwałe rozwiązanie kryzysu politycznego nie może być narzucone z zewnątrz siłą”. Chiny określiły działania USA jako „rażące naruszenie prawa międzynarodowego”. Zaniepokojenie wyraził także sekretarz generalny ONZ, ostrzegając przed tworzeniem precedensu użycia siły wobec suwerennego państwa bez zgody Narodów Zjednoczonych, a

Unia Europejska, podkreśliła, że „wszelkie rozwiązania muszą być zgodne z kartą ONZ i prawem międzynarodowym”.

Czarne złoto

Znaczenie ropy wykracza daleko poza ekonomię. Wpływa ona na relacje międzynarodowe, tworzenie sojuszy energetycznych oraz prowokuje konflikty. Państwa walczą o kontrolę nad zasobami, ponieważ zapewnia im to przewagę w globalnej polityce. Przykłady takie jak atak Iraku na Kuwejt czy konflikty w Sudanie i Nigerii pokazują, że posiadanie surowców bywa równie strategiczne, a czasem ważniejsze niż sama władza polityczna. W 1960 roku powstała organizacja OPEC, skupiająca największych producentów ropy, m.in. Arabię Saudyjską, Iran, Irak i Wenezuelę, w celu koordynacji polityki naftowej i stabilizacji cen na światowych rynkach. Tworzone są również regionalne sojusze, np. państw Europy Południowo-Wschodniej, w celu integracji rynku i zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego w regionie. Kontrola nad ropą pozwala państwom na realizowanie interesów politycznych bez konieczności uciekania się do otwartego konfliktu zbrojnego. Mechanizmy takie jak embargo, ograniczenia eksportowe czy manipulacje cenowe są formą „energetycznego szantażu”, który wywołuje efekty zarówno na poziomie gospodarek, jak i dyplomacji. Takie działania wpływają na architekturę bezpieczeństwa energetycznego innych państw, które zmuszone są dywersyfikować źródła dostaw oraz minimalizować ryzyko zależności politycznej, czego przykładem jest Polska w swoich relacjach z Rosją. Sposób, w jaki ropa jest używana jako narzędzie polityki międzynarodowej, pokazuje, że surowce strategiczne mogą stać się zarówno kartą przetargową, jak i narzędziem presji w globalnej grze o wpływy.

Interwencja USA w Wenezueli może być jedynie preludium do kolejnych działań o charakterze zbrojnym lub ekonomicznym. Administracja Trumpa wprost wskazuje na państwa, wobec których wysuwane są przez nią roszczenia, m.in. Kolumbię i Kubę, którą Trump uważa za „upadające państwo”, oraz strategicznie położoną Grenlandię, kluczową dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. W zapowiedziach widać motyw przewodzenia globalnym procesom decyzyjnym i kontroli nad zasobami naturalnymi, co może stworzyć niebezpieczny precedens ingerencji w suwerenność państw. Kolejne miesiące prawdopodobnie będą okresem demonstracji siły, redefinicji wpływów w obu Amerykach i Europie oraz testowania reakcji społeczności międzynarodowej wobec naruszeń zasad prawa międzynarodowego.

Emilia KRUKOWSKA

Umowa handlowa Unii Europejskiej z Mercosurem wywołuje w Polsce gorące dyskusje. Dla jednych to symbol globalizacji, zagrażającej rodzinnemu rolnictwu, dla innych szansa na wzmocnienie pozycji gospodarczej kraju i UE w burzliwym świecie. Spór ten przypomina emocje sprzed wejścia Polski do Unii: obawy przed konkurencją, pytania o standardy i strach przed utratą wpływów rynkowych. Czy jednak historia może się powtórzyć i dzisiejsze lęki okażą się przesadzone, gdy opadnie kurz politycznych sporów?

Zawarta w styczniu umowa należy do najbardziej ambitnych i jednocześnie najbardziej kontrowersyjnych porozumień handlowych w historii Unii Europejskiej. Zakłada ona szeroką współpracę gospodarczą z blokiem państw Ameryki Południowej. Należą do niego Brazylia, Argentyna, Paragwaj, Boliwia i Urugwaj. Mercosur, czyli Wspólny Rynek Południa, powstał na początku lat 90. XX wieku jako projekt integracji regionalnej, którego celem było nie tylko znoszenie barier handlowych pomiędzy krajami członkowskimi, lecz także wzmocnienie ich pozycji negocjacyjnej i konkurencyjności na globalnym rynku. Z biegiem lat stał się jednym z najważniejszych ugrupowań gospodarczych na świecie, a jego państwa członkowskie odgrywają istotną rolę w globalnym handlu surowcami, żywnością i coraz częściej także produktami przemysłowymi. Dziś obszar krajów Mercosuru zamieszkuje około 260 mln ludzi, co w połączeniu z UE tworzy rynek liczący blisko 700 mln konsumentów. To zakres, który czyni z tego porozumienia nie tylko instrument handlowy, ale również ważne narzędzie polityki gospodarczej i strategicznej UE.

Mercosur dla wielu Polaków staje się powodem do trosk, zmartwień i pytań bez odpowiedzi. Podobne nastroje panowały już na początku XXI wieku: – Osobiście pamiętam że także wejście do Unii Europejskiej miało zagrozić polskim rolnikom. Nic takiego się nie stało, a dzięki akcesji do UE rolnictwo i rolnicy skorzystali – podkreśla ekspertka ds. ekonomii międzynarodowej i polityki gospodarczej, dr Joanna Skrzypczyńska z Wydziału Nauk Politycznych i Dzien-

Starcie interesów?



Zmiana stanowiska Włoch przesądziła o zawarciu porozumienia.

nikarstwa z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Limity, da i nowe rynki

Wbrew obiegowym opiniom umowa UE – Mercosur nie oznacza natychmiastowego i pełnego otwarcia unijnego rynku na produkty rolno-spożywcze z Ameryki Południowej. Zawarto w niej szereg mechanizmów ochronnych, które mają dać europejskim producentom czas na dostosowanie się do nowych warunków. Handel żywnością będzie ściśle regulowany i ograniczony, szczególnie w sektorach uznawanych za wrażliwe. Przewidziano kontyngenty celne m. in. na wołowinę, drób, cukier, miód i etanol. W przypadku wołowiny na rynek UE ma trafiać docelowo niespełna 100 tys. ton rocznie, czyli około 1,25% unijnej produkcji (przekraczającej 6 mln ton). Co więcej, kontyngent ten będzie zwiększany stopniowo przez sześć lat, a cło nie zostanie zniesione,

”Wbrew obiegowym opiniom umowa UE – Mercosur nie oznacza natychmiastowego i pełnego otwarcia unijnego rynku na produkty rolno-spożywcze z Ameryki Południowej.

lecz jedynie obniżone do poziomu 7,5%. Umowa przewiduje również klauzule ochronne. Jeśli import doprowadziłby do spadku cen w UE o więcej niż 5%, Komisja Europejska ma w ciągu 14 dni wstrzymać przywóz. Wszystkie unijne normy sanitarne i żywnościowe będą nadal obowiązywać, a import żywności ma podlegać ścisłej kontroli. Faktem jest jednak, że standardy produkcji w krajach Mercosuru różnią się od tych obowiązujących w krajach należących do UE, co budzi sprzeciw części państw członkowskich, w tym Polski. Większe zagrożenie może kryć się gdzieś indziej. – Dużo większym zagrożeniem dla polskiego sektora rolno-spożywczego jest ryzyko zmniejszenia popytu ze strony unij-

nich importerów na produkty pochodzące z Polski i zastąpienie ich tymi z rynków południa – zauważa ekspertka. A takie obawy zgłaszają zwłaszcza producenci drobiu.

Kwestia ewentualnych pozytywnych skutków umowy dla polskiego rolnictwa pozostaje niejasna i zapewne będzie wymagać aktywnej polityki państwa. Znacznie szybciej pozytywne efekty może odczuć przemysł. Najwięcej zyskają branże motoryzacyjna, chemiczna, maszynowa i farmaceutyczna ze względu na potrzeby technologiczne i chłonność rynków państw południowoamerykańskich. Ważnym elementem umowy są też zapisy dotyczące dostępu do zamówień publicznych. Dotychczas systemy te w krajach Mercosuru miały

charakter silnie protekcyjny, natomiast teraz mają zostać otwarte na firmy unijne. To może oznaczać nowe szanse dla rodzimych firm: – Polskie przedsiębiorstwa, często bardzo konkurencyjne cenowo, mogą na tym skorzystać, zwłaszcza w sektorze autobusowym, tramwajowym czy kolejowym – ocenia ekspertka.

Gospodarcza tarcza?

W szerszym geopolitycznym kontekście znaczenie porozumienia dla UE, a pośrednio także dla Polski, wykracza daleko poza kwestie czysto handlowe. W warunkach narastającej niestabilności globalnej, wojen handlowych i coraz częściej stosowanego protekcyjizmu Unia Europejska musi aktywnie poszukiwać nowych przewidywalnych i długofalowych partnerstw gospodarczych. Zmiana polityki handlowej Stanów Zjednoczonych, coraz wyraźniej stawiających na ochronę własnego rynku i skracanie łańcuchów dostaw, a także rosnąca obecność Chin w Ameryce Południowej sprawiają, że UE nie może pozwolić sobie na bierność w regionach o dużym potencjale gospodarczym. – Pogłębienie współpracy z Mercosurem wzmocni pozycję Europy w regionie tradycyjnie postrzeganym jako strefa wpływów USA, a dziś coraz silniej penetrowanym przez chińskie inwestycje i kapitał. Dla UE jest to szansa na budowanie trwałych relacji opartych nie tylko na handlu, lecz także na wspólnych standardach, regulacjach i dialogu politycznym – zaznacza dr Skrzypczyńska. Dla naszego kraju może to jednak być nie tylko wyzwanie, ale także i szansa na zaznaczenie pozycji na rynku europejskim. Aby się jednak tak stało, konieczne jest działanie. – Wymaga to aktywnej strategii państwa i przedsiębiorców, ukierunkowanej na promocję polskich marek, wykorzystanie przewagi jakościowej oraz budowanie rozpoznawalności na odległych rynkach. W przypadku sektora rolno-spożywczego kluczowe znaczenie będzie miało nie tylko utrzymanie wysokich standardów produkcji, z których słynie polska żywność, lecz także odpowiednie informowanie konsumentów – dodaje ekspertka.

Historia naszej akcesji do UE uczy, że początkowy lęk przed konkurencją nie musi oznaczać porażki, a wręcz może stać się impulsem do modernizacji i wzrostu. Kluczowe będzie jednak to, czy Polska wykorzysta swoje atuty – jakość produkcji, konkurencyjność cenową i doświadczenie eksportowe – oraz czy państwo i UE skutecznie zadba o ochronę wrażliwych sektorów i transparentność rynku. Umowa z Mercosurem nie jest celem samym w sobie, lecz narzędziem potencjalnego wzmocnienia polskiej gospodarki, o ile zostanie ono mądrze wdrożone i świadomie wykorzystane.



Ursula von der Leyen optowała za zawarciem umowy z Mercosur.

Oliwia MAZIOPA

Kiedy jednych fascynuje, drugich może niepokoić. Twórczość Zdzisława Beksińskiego zachęca do zanurzenia się w mroczny i pełen sugestii świat. Zdeformowane postacie, monumentalne pejzaże i apokaliptyczne wizje składają się na opowieść o ludzkości i tym dokąd zmierzamy. A takie spotkanie z jego sztuką było możliwe podczas do niedawna otwartej wystawy artysty w Warszawie.

Wystawa w warszawskiej Cytadeli upamiętniała 20. rocznicę śmierci artysty. Oprócz popularnych dzieł, kojarzonych choćby z podręczników do języka polskiego, obecne były tam również malunki nieznane szerszej publiczności, pochodzące m.in. z prywatnych kolekcji.

Tak częste wystawy dzieł Beksińskiego (poprzednia w stolicy odbyła się w 2024 roku) nie mogą dziwić. Tragicznie zamordowany w 2005 roku malarz był dla Polski artystą wyjątkowym. Nie tylko dlatego, że wyróżniał się nienaganną techniką czy popularnością za granicą. Przede wszystkim jednak łamał on tematy tabu w sztuce popularnej, takie jak śmierć lub brzydota, stając się tym jednym z najważniejszych malarzy fantastycznych w historii naszego kraju. Wymyślał się schematom czy określonej stylowi artystycznemu, tworząc w nurcie, który czerpał z surrealizmu połączonego z realizmem oraz absurdem (choć i to nie jest jego perfekcyjnym opisem). Stąd otrzymał wyrazy uznania od miłośników awangardy.

Chwile przed płótnem

Beksiński urodził się w 1929 roku i nie ograniczał swojej twórczości do malarstwa. Mało kto wie, że zajmował się też tworzeniem prototypowych autobusów czy przeżył krótki romans z fotografią. Szczególnie ten drugi etap zwiastował późniejsze trendy artysty, opierając się przede wszystkim na perspektywie i ukrytej w rozmytych tłach tajemnicy.

Jego fotografie były przesiąknięte niepokojem, mrokiem i strachem. I mogły stanowić swego rodzaju preludium do jego przyszłej twórczości malarskiej, którą dzisiaj dzieli się na pewne okresy, choć te nie są w pełni skonkretyzowane. Najsłynniejsze dzieła pochodzą z lat 70. i 80., czyli tzw. okresu fantastycznego. Wówczas na zdecydowanej większości obrazów można było dostrzec śmierć, przemijanie czy wątki egzystencjalne. Do tego wiele z jego prac wpasowywało się w nurt



Autoportret Zdzisława Beksińskiego.

”Odkrywanie znaczeń schowanych w osobistym życiu artysty to bardzo trudne i wymagające zadanie, zmieniające się czasem w wieloletnie studiowanie zagadnień i biografii. Zwrot ku większej roli odbiorcy otwiera jedynie nową ścieżkę, jaką można podążać. A ona pozwala na kreowanie scenariuszy, których nawet autor nie mógł sobie wyobrazić.

rosnącej popularności body horroru. Poszczególne tematy analizowano w szeregu biografii czy artykułach poświęconych twórczości artysty. Pozostaje jednak pytanie – co o swoich dziełach mówił sam Beksiński?

Tworzyć nie wiedząc

Na warszawskiej wystawie można było obejrzeć półgodzinny pokaz audiowizualny prezentujący dzieła polskiego artysty – włącznie z kilkoma jego wypowiedziami. Właśnie one mogły dać nowe spojrzenie nie tylko na twórczość malarza, ale i sztukę w ogóle. Beksiński bowiem, pytany o znaczenie swoich obrazów, zazwyczaj odpowiadał: „Nie wiem”. Tak prosta sentencja może być dla oczekującego gotowe rozwiązanie odbiorcy niesatisfakcjonująca, a nawet spowodować

głębokie rozczarowanie. We wszystkich jego dziełach widać pewną konsekwencję – nie nadawał im tytułów, nie malował czytelnych symboli oraz nie dopasowywał się do określonego z góry nurtu artystycznego. Wszelkie prerogatywy interpretacyjne pozostawiał odbiorcy.

Sama idea nie jest dzisiaj niczym nowym, lecz kiedyś mogła wzbudzać kontrowersje. Wszystko zmienił ulubiony eseista postmodernistów – Umberto Eco. W pracy „Interpretacja i nadinterpretacja” stworzył konkretny podział tytułowej interpretacji. A zgodnie z nią można analizować dzieło według intencji autora lub samej warstwy wizualnej czy tekstowej. Można też oceniać, czym jest dana sztuka dla samego odbiorcy. Wówczas to sam obserwator stawia określone ramy i rozu-

mie dzieło na podstawie własnych doświadczeń czy swojej wiedzy.

Jeszcze ważniejszą personą był Roland Barthes. Już w latach 60. zbuntował się przeciwko dominacji autora i w metaforyczny sposób stwierdził, że we współczesnej kulturze nie ma on już znaczenia. Przy najmniej nie jest na tyle istotny, by stawiać się nad samym odbiorcą.

Nie oznacza to oczywiście, że Beksiński malował obrazy zgodnie z tymi założeniami. Być może faktycznie nie interesowało go znaczenie własnej sztuki, włącznie z tym, co myślą na jej temat sami odbiorcy. Funkcja jest wówczas inna: widz ma pełną dowolność w interpretowaniu dzieł. Nie zostaje przez twórcę skierowany ku konkretnemu odczytaniu, a raczej pozostawiony w piaskownicy własnych znaczeń, zależnych od dnia, stanu psychicznego czy upodobań.

Drugim ciekawym zdaniem Beksińskiego, które można było usłyszeć na wystawie, są słowa o „niedopowiedzeniu” jako kluczowym aspekcie sztuki. Tutaj kryje się inna strona polskiego malarza, ciekawie łącząca się z jego liberalnym podejściem do znaczenia własnych utworów. Najważniejszym nie ma być to, co zostało pokazane, lecz to,

co kryje się poza płótnem, w sferze wyobrażeń i interpretacji.

Odkrywanie znaczeń schowanych w osobistym życiu artysty to bardzo trudne i wymagające zadanie, zmieniające się czasem w wieloletnie studiowanie zagadnień i biografii. Zwrot ku większej roli odbiorcy otwiera jedynie nową ścieżkę, jaką można podążać. A ona pozwala na kreowanie scenariuszy, których nawet autor nie mógł sobie wyobrazić.

Nasunąć może się pytanie czy takie podejście nie sprawia, iż obrazy Beksińskiego stają się tanią sztuką. Czy jeśli usuniemy znaczenie, nie zostajemy tylko z pustym zachwytem? Beksiński jednak swoimi obrazami przekazuje znacznie więcej emocji i odczuć niż tylko tą jedną. Wspomniane już wcześniej strach i niepokój wspiera choćby dyskomfort, nienawiść, niechęć do własnego ciała czy przytłoczenie. Polak jak mało kto prezentował wręcz lovecraftowską wizję świata, w którym nieokiełznana wielkość pradawnych istot zderza się z małym i nic nieznającym w ich obliczu człowiekiem.

W pułapce niedopowiedzeń.

Na uwagę zasługuje obraz tytułowany często jako „The Whore”. Pokazuje niewiele oraz nie ma dosłownego znaczenia czy symboliki. Może powodować zachwyt samą jakością wykonania, może też wzbudzać dyskomfort przez sposób prezentacji ukazanej na płótnie postaci. Kto wie, być może kryje się za nim o wiele większa, bardziej przerażająca tajemnica, umieszczona właśnie w zaznaczonym przez malarza niedopowiedzeniu. Co, jeśli przedstawia aktorkę, która została postrzelona (trzy rany na piersi), a następnie wystawiona na pokaz w galerii? Co, jeśli jest symbolem sztuki jako takiej, traktowanej we wręcz absolutystyczny sposób? Wówczas czujemy już przerażenie oraz współczucie wobec namalowanej bohaterki.

To właśnie w takie rejony mogą zabnąć nasze myśli, jeśli tylko odezwie się je od ograniczeń stawianych przez ramy analityczne czy biografię autora. Można być wielkim miłośnikiem takiego podejścia lub wręcz przeciwnie – zagorzałym przeciwnikiem. Pewnych interpretacyjnych torów, po których porusza się ludzka wyobraźnia nie sposób jednak zatrzymać, a sam Beksiński nie wydawał się nigdy chcieć do tego doprowadzić.

Zdzisław Beksiński to z pewnością artysta nietuzinkowy w naszej historii. Mało kto był w stanie wydobyc z człowieka tyle emocji i myśli, włącznie z tymi, których pozornie nie chciałoby się dostrzec. To ta otwartość sprawia, że jest to artysta w tych czasach jeszcze ważniejszy.

Jacek ADAMCZAK

AI slop. Czym karmisz mózg?

Scrollujemy szybciej niż kiedykolwiek, konsumując treści, które bawią, szokują lub po prostu same się oglądają. Kolorowe, dziwne, absurdalne, bezsensowne – nieważne, jakie są. Ważne, żeby zatrzymały wzrok na dłużej. Granica między tym, co stworzone, a tym, co wygenerowane, coraz bardziej się rozmywa. W świecie zaprojektowanym pod nieustanną stymulację warto zadać pytanie: czy naprawdę wiemy, czym dziś karmimy własną uwagę – i jakie będą tego długofalowe konsekwencje?

AI slop – termin wybrany słowem roku 2025 przez Merriam-Webster i American Dialect Society – odnosi się do masowych treści generowanych przez sztuczną inteligencję, najczęściej niskiej jakości, pozbawionych wartości artystycznej lub merytorycznej. Muzyka, filmy, grafiki, filtry, teksty – coraz więcej treści, które konsumujemy dziś w internecie, powstaje przy udziale algorytmów. AI slop działa jak cyfrowy fast food: szybki, tani i zaprojektowany tak, by konsumować go bezrefleksyjnie. Nie po to, by się nasycić, lecz by zatrzymać uwagę. Pojawia się więc pytanie: jakie są długofalowe skutki tej zmiany i czy zdajemy sobie sprawę z tego, jak głęboko generatywna sztuczna inteligencja wnika w nasze życie?

W Twoim telefonie

Kto choć raz nie nabrał się na realistycznie wyglądający filmik ze zwierzętami skaczącymi na trampolinie lub nie śmiał się (choćby ironicznie) z viralowego brainrotu? Nawet osoby starające się unikać tych treści prędzej czy później na nie trafiają. Społeczeństwo zachłystnęło się nowymi możliwościami. Sztuczna inteligencja przestała być ciekawostką dla entuzjastów technologii. Stała się integralną częścią codziennych narzędzi: Google automatycznie wyświetla AI Overview ponad wynikami wyszukiwania, Meta integruje asystentów AI z Messengerem, Instagramem i WhatsAppem, Microsoft Copilot pojawia się w pakiecie Office, a systemy operacyjne w telefonach i komputerach oferują „inteligentne podpowiedzi”, które nie zawsze da się

wyłączyć. Mamy przyzwyczaić się do tego, co jest nam prezentowane. Chcąc nie chcąc – do wygody i szybkiej dopaminy przyzwyczaić się jest bardzo łatwo...

Szczególnie podatne na skutki zalewu AI są osoby starsze oraz dzieci. Seniorzy często nie posiadają narzędzi ani kompetencji pozwalających odróżnić wygenerowane treści od prawdziwych informacji. Clickbaitowe grafiki, zmanipulowane nagrania czy fałszywe wiadomości mogą prowadzić do dezinformacji, strachu i oszustw. Dzieci natomiast dorastają w środowisku, w którym algorytmy od początku współtworzą ich rzeczywistość – estetykę, język, poczucie humoru i sposób komunikacji.

W Twojej głowie

Wpływ generatywnej sztucznej inteligencji nie kończy się na estetyce czy na jakości treści. Okazuje się, że regularne korzystanie z narzędzi AI może znacząco wpływać na nasze funkcje poznawcze. Badanie przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych przez uczelnię Massachusetts Institute of Technology (MIT) dostarczyło pierwsze neurofizjologiczne dowody na to, że korzystanie z generatywnej SI (w tym przypadku ChatGPT) obniża zdolność mózgu do tworzenia, analizowania i zapamiętywania treści. Jeśli AI jest używana bezrefleksyjnie, prowadzi do osłabienia umiejętności krytycznego myślenia i rozwiązywania problemów. U badanych osób takie deficyty dało się zaobserwować nawet kilka miesięcy później.

Sprzeciw wobec generatywnego AI istnieje, choć bywa rozproszony. Najgłośniejsze protestują osoby z branż kreatywnych. Podczas straj-

ków w Hollywood aktorzy i scenarzyści zwracali uwagę na zagrożenia związane z cyfrowym klonowaniem wizerunku i głosu. Scarlett Johansson publicznie sprzeciwiała się wykorzystaniu głosu ludzkiego podobnego do jej własnego, a artyści muzyczni, m.in. Billie Eilish, Nicki Minaj czy Stevie Wonder, podpisali list otwarty przeciwko trenowaniu modeli na cudzej twórczości. Kontrowersje budzą także incydenty takie jak afera z Grokiem na platformie X, który generował seksualizujące treści na podstawie zdjęć realnych osób.

Twoja kreatywność?

Rozmowa o generatywnym AI szybko przestaje być rozmową o technologii, a zaczyna dotyczyć filozofii. Skoro algorytmy potrafią perfekcyjnie imitować styl, emocje i estetykę, to musimy na nowo zdefiniować, czym jest dla nas sztuka lub ludzka kreatywność i dlaczego w ogóle ją cenimy. Przy tempie, w jakim rozwija się technologia, to kwestia kilku miesięcy, tygodni, a może dni, kiedy nawet najbardziej spostrzegawczy użytkownicy nie będą w stanie odróżnić wytworów SI od dzieł człowieka. Dochodzimy do pytań „jak definiujemy sztukę?” i „czy cenimy prace stworzone przez człowieka bardziej niż wygenerowane przez SI?” Czy sam pomysł – prompt – jest wystarczającym wkładem własnym, by nazwać grafikę czy filmik swoim dziełem? Niektórzy intuicyjnie czują, że praca człowieka ma większą wartość. Inni nie widzą problemu w słuchaniu playlist wygenerowanych w Suno czy wieszaniu na ścianie obrazów stworzonych przez ChatGPT – dopóki im się podobają. Być może to kolejny przej-



AI slop zalewa social media.

Warto więc zadać sobie pytanie, czy algorytmy są w stanie oddać ludzkie doświadczenie, czy jedynie je imitują – sklejać emocje z danych i statystyk. I czy w świecie pełnym perfekcyjnych, natychmiastowych podróbek wciąż będziemy potrafili docenić to, co niedoskonałe, wolniejsze, brzydsze – ale prawdziwe.

ciowy konflikt, podobny do tego, który towarzyszył pojawieniu się digital artu.

Warto więc zadać sobie pytanie, czy algorytmy są w stanie oddać ludzkie doświadczenie, czy jedynie je imitują – sklejać emocje z danych i statystyk. I czy w świecie pełnym perfekcyjnych, natychmiastowych podróbek wciąż będziemy potrafili docenić to, co niedosko-

nałe, wolniejsze, brzydsze – ale prawdziwe. Być może największym wyzwaniem nie jest dziś sama obecność generatywnej sztucznej inteligencji, lecz nasza gotowość do bezrefleksyjnej konsumpcji. Bo to, czym karmimy swoją uwagę, wcześniej czy później zaczyna kształtować sposób, w jaki myślimy, czujemy i tworzymy.

Zuzanna KOŁACZ



Branża kreatywna protestuje.

Firma LEGO przez ostatnie lata stawiała na rozwój produktów dla dorosłych oraz komunikację marketingową nakierowaną na starszych odbiorców. Tym razem stworzyła zupełnie nową technologię dla dzieci, jaką jest Smart Brick. Kłosek ma wydawać dźwięki i świecić, a w konsekwencji nadawać zabawie większą interaktywność. Jest to swoista redefinicja podstawowego elementu tożsamości marki. Nasuwa się przy tym pytanie, czy takie rozwiązanie to konieczna rewolucja czy raczej nietrafione odczytanie trendów?

Marka LEGO powstała w 1932 roku i przeszła drogę od małej firmy tworzącej drewniane zabawki do lidera w branży klocków konstrukcyjnych. W ciągu ostatnich dwóch dekad nawiązała wiele współprac licencyjnych, czego owocem było powstanie zestawów z takimi uniwersów jak: Marvel, DC, Gwiezdne wojny, Harry Potter czy nawet Diuna. Takie zestawy wzbudzały często zainteresowanie dorosłych odbiorców, którzy w dzieciństwie składali i interesowali się produktami tej marki, a teraz postanowili powrócić do tego hobby. Obecnie można wyróżnić dwa rodzaje oferowanych produktów: duże i zaawansowane zestawy dla dorosłych klientów oraz prostsze i mniejsze dla dzieci w różnym wieku. Najnowszy produkt, w postaci Smart Bricka, został skierowany do drugiej grupy.

Smart Brick ma w sobie wiele czujników, które po zetknięciu z tzw. smart tagami aktywują określone funkcje. Najlepszy przykład działania zobaczymy w zestawie Kantyna Mos Eisley. Jeśli przyłożymy kłosek do Smart Taga z wizerunkiem nutek, to Smart Brick zacznie odtwarzać kultową muzykę. Smart Bricki mogą również reagować na siebie, więc jeśli będziemy posiadać 2 statki ze Smart Brickami, to zyskamy możliwość strzelania do siebie wraz z efektami dźwiękowymi. Gdy jeden ze statków będzie trafiał w drugi, ten będzie wydawał odgłosy zniszczenia. Według producenta bateria ma starczyć na 45 minut zabawy, natomiast czas bezprzewodowego ładowania zajmie trzy godziny. Na start zapowiedziano trzy zestawy z linii Gwiezdne wojny ze Smart Brickami oraz trzy ze Smart Tagami.

Quo Vadis?

Społeczność klockowych fanów po ogłoszeniu nowości podzieliła się na dwie duże grupy. Jedna część uważa ten projekt za nieudany, ponieważ za-

”To nie pierwszy raz, gdy dochodzi do dyskusji na temat obranego przez LEGO kierunku rozwoju, ponieważ co kilka lat firma stara się wprowadzić podobne rozwiązania. Dotychczasowe próby były chęcią powiązania zabawy klockami z telefonami, ale projekty te nie zostały pozytywnie przyjęte i nigdy nie zawaładnęły rynkiem.

wsze postrzegala klocki LEGO jako opcję ucieczki od zabawek z dużą liczbą bodźców. Takie stanowisko głosi również Josh Goli, dyrektor wykonawczy grupy Fairplay, który w rozmowie z BBC powiedział, że: „Smart Brick może podważyć to, co kiedyś było wspaniałe w klockach Lego”. Według niego kluczowym elementem zabawy klockami była wyobraźnia. Druga grupa fanów przyjmuje innowację z optymizmem, dzieląc oficjalne wypowiedzi pracowników firmy. Dyrektorzy in-

formowali podczas prezentacji, iż pracowali osiem lat nad tą technologią. Według nich to najbardziej rewolucyjne rozwiązanie od około 50 lat. Dyrektorka ds. produktu i marketingu, Julia Goldwin, w wypowiedzi dla IGN stwierdziła: „Tak jak świat ewoluuje, tak i my – wprowadzając innowację, aby zaspokoić potrzeby każdego nowego pokolenia związane z rozrywką”.

To nie pierwszy raz, gdy dochodzi do dyskusji na temat obranego przez LEGO kierunku rozwoju, ponieważ

co kilka lat firma stara się wprowadzić podobne rozwiązania. Dotychczasowe próby były chęcią powiązania zabawy klockami z telefonami, ale projekty te nie zostały pozytywnie przyjęte i nigdy nie zawaładnęły rynkiem. Rodzicom zależało, aby klocki były alternatywą dla telefonu, więc często odrzucali rozwiązania łączące te dwa elementy. Przykładem takiej innowacji była seria Hidden Side. Posiadała ona swoją aplikację mobilną, dzięki której po włączeniu aparatu na ekranie wyświetlały się animacje wokół zestawu. Finalnie została wycofana z rynku po trzech latach. Marka Lego posłuchała głosów konsumentów i stara się dodać bodźce bezpośrednio do produktu z pominięciem ekranów. Jest to krok w lepszą stronę, ale czy w pełni zadowalający? O tym przekonamy się za jakiś czas, gdy firmie przyjdzie zdecydować o przyszłości nowego produktu, a rodzice zagłosują swoimi portfelami.

Przed nami ostatnie lata tradycyjnych klocków?

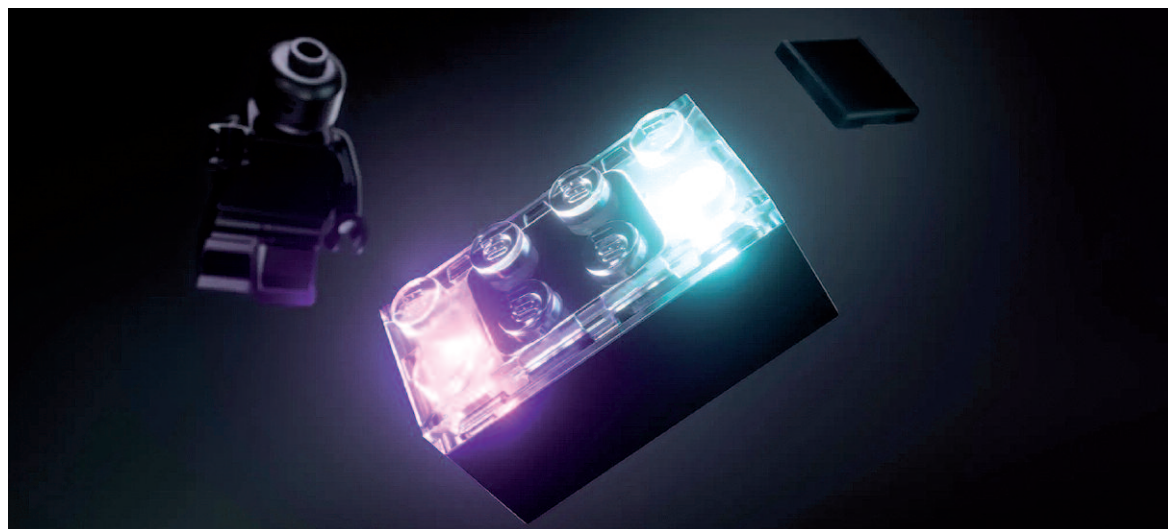
Decyzja o wprowadzeniu nowej technologii może być zrozumiała, gdyż marka LEGO nie chce zostać wyprzedzona przez konkurencję. Choć inni producenci klocków nie oferują podobnych rozwiązań, na rynku zabawek dla dzieci rywalizacja toczy się również z innymi firmami. W perspektywie kilku lat mogłaby nastąpić zmiana i dzieci coraz rzadziej sięgałyby po zwykłe klocki, bo te wypadałyby mniej atrakcyjnie od innych produktów. Jednocześnie LEGO to jeden z ostatnich bastionów tradycyjnych zabawek, które pobudzają wyobraźnię dzieci, bez udziału dodatkowych bodźców. W różnych mediach masowego przekazu psychologowie stale ostrzegają przed przebodźcowaniem dzieci. Niektóre bajki mają zbyt wyraziste kolory i przy dłuższym oglądaniu wykazują działania uzależniające oraz wpływają na pogorszenie koncentracji u najmłodszych. Wówczas niektórzy rodzice starają się znaleźć zdrową alternatywę i taką dotychczas wydawały się klocki konstrukcyjne.

Firma stara się nie osiąść na laurach i stale wprowadzać innowacje, aby ich produkty wciąż były interesujące. Widoczny jest postęp, gdyż zabawa będzie odbywać się bez użycia telefonów i innych ekranów. Fanom marki pozostaje obserwować, czy nowe pokolenie zaakceptuje taką propozycję, czy będzie wolało polegać na wyobraźni. Bo wyobraźnia to najcenniejsze, co można pielęgnować wśród najmłodszych i tradycja od lat pielęgnowana przez markę LEGO.

Martyna KOCZOROWSKA



Martyna Koczorowska (archiwum własne) / Fenestra



Materiał prasowe LEGO

Plakat zapowiadający nową technologię LEGO.

Przez długi czas postrzegana była jako problem, który dotyka raczej niewielkiej części społeczeństwa i głównie osób starszych. Rzeczywistość pokazuje jednak, że z samotnością zmagają się coraz więcej osób, także w młodym wieku. Co równie niepokojące, 25% osób przebadanych w sondażu polskiego projektu MindGenic AI odczuwa samotność nawet w towarzystwie innych ludzi. Tego zjawiska nie można więc bagatelizować, gdyż może nieść za sobą poważne konsekwencje społeczne.

Samotność można określić jako subiektywne poczucie izolacji i odcięcia od innych ludzi. Jak wskazuje badanie przeprowadzone przez Wydział Psychiatrii Wrocławskiego Uniwersytetu Medycznego w 2025 roku, nawet do 50% dorosłych Polek i Polaków mogło doświadczać przewlekłej samotności. Wnioski takie wyciągnięto na podstawie odpowiedzi osób w wieku 18-80 lat. Badanych pytano m.in. o komfort w relacjach z innymi oraz stopień zadowolenia z nich. Wyniki wskazują, że najczęściej samotność przewlekłą odczuwali młodzi dorośli (18-35 lat) oraz osoby starsze (75 lat i więcej). Szczególnie niepokojąca jest kwestia tego zjawiska wśród tych najmłodszych.

Złożony problem

Mimo częstego przebywania w otoczeniu ludzi np. w szkole, na uczelni bądź w miejscu pracy, młodzi mają trudności w zbudowaniu relacji z innymi. Z badania CBOS z 2024 r. „Kto jest najbardziej narażony na samotność?” wynika, że od 2017 roku dwukrotnie zwiększył się odsetek dorosłych permanentnie bądź bardzo często odczuwających samotność. Najczęściej doskwierała ona młodym ludziom w wieku 18-34 lata. Natomiast z raportu „Młode Głowy. Otwarcie o zdrowiu psychicznym” z 2023 roku, sporządzonego na zlecenie fundacji UNAWEZA wynika, że dzieci i młodzież to osoby przepełnione samotnością, skrajnie niską samooceną i niskim poczuciem sprawczości. W badaniu wzięło udział ponad 180 tys. uczniów i uczennic ze wszystkich polskich województw. Raport ten wykazał m.in., że co druga przebadana osoba nie ufa innym ludziom, a aż 37,5% młodych czuje się samotna. Przyczyn zintensyfikowania zjawiska samotności przewlekłej wśród ludzi młodych jest wiele, a



Źródło: Pixels, Stefan Stelancik

Samotność coraz częściej dotyka młodych ludzi.

”Niepokojące są również wyniki badań, opublikowane przez PubMed w 2021 roku. Wynika z nich, że wśród nastolatków oraz młodych dorosłych samotność oraz izolacja społeczna wiązały się zarówno ze złym zdrowiem psychicznym, jak i fizycznym. Wyniki wskazywały, że samotność wiąże się ze zwiększonym ryzykiem takich dolegliwości, jak astma, migrena, choroby zwyrodnieniowe stawów, nadciśnienie, szumy uszne i długotrwałe choroby psychiczne.

głównej upatruje się w pandemii COVID-19. W znacznym stopniu wpłynęła ona bowiem na relacje międzyludzkie, m.in. popularyzując wirtualne formy kontaktu oraz pracę zdalną. Po pandemii wiele osób znacząco ograniczyło liczbę i częstotliwość bezpośrednich interakcji z innymi na rzecz komunikacji online. Pandemia stanowiła swoisty zapalnik dla spotęgowania zjawiska samotności. Na problem ten wpływa również rosnąca popularność mediów społecznościowych prowadząca do ograniczenia bezpośredniego kontaktu z innymi. Kwestia izolowania się od świata realnego przez młodych jest poważna. Z sondażu z 2023 roku przeprowadzonego przez MindGenic AI wynika, że jedna czwarta przebadanych osób deklaruje, że spędza w sieci nawet pięć godzin dziennie w celu „zabicia samotności”. Niepokojący jest także fakt, że co piąta przebadana osoba z Pokolenia Z ucieka przed samotnością w wirtualny świat, odbiegający od rzeczywistości. Ponadto, co czwarta przebadana osoba deklaruje poczucie osamotnienia nawet w towarzystwie innych ludzi. Wynikać to może m.in. z braku kompetencji społecznych, pewności siebie bądź narzędzi do budowania relacji w świecie realnym.

Gospodarcze koszty

Samotność niesie za sobą liczne koszty dla jednostek. Są to głównie gorsze samopoczucie i spadek pewności siebie. Równie poważne wydają się koszty społeczne postępującej samotności u młodszych osób. Często pomijane w owej dyskusji są potencjalne skutki gospodarcze. Na ten temat, dla podcastu Polityki Insight, wypowiedziała się Zofia Dzik, szefowa Instytutu Humanites. Wskazała ona na kwestię pracy zdalnej. Z danych Statista wynika, że najwięcej osób pracujących zdalnie w Polsce to osoby w wieku 26-35 lat, a odsetek osób pracujących w tej formie wzrósł po pandemii. Z jednej strony praca „z domu” miała być gwarantem większej wygody i swobody podczas pracy, z drugiej strony jednak przyczyniła się do spadku kreatywności i efektywności pracowników. Jak wyjaśnia Zofia Dzik, wiele firm decyduje się na przywrócenie pracy w systemie biurowym lub przynajmniej hybrydowym, gdyż borykają się z problemem aktywności ze strony pracowników. Według raportu Instytutu Gallupa z 2025 roku „State of the Global Workplace” mamy obecnie do czynienia ze spadkiem globalnego zaangażowania pracowników, a także rosnącym dystansem między zespołami a kierującymi nimi liderami.

mi. Z raportu wynika, że odpowiada za to głównie ekspansja sztucznej inteligencji w wielu branżach, czego negatywnymi skutkami są zerwane więzi oraz zablokowanie rozwoju w zespole. Autorzy badania wskazują ponadto, że rozwój, zaangażowanie, a przede wszystkim efektywność pracy są możliwe w środowisku, które sprzyja poczuciu przynależności i rozwijaniu relacji międzyludzkich. Obecnie mamy natomiast do czynienia z trudnościami w nawiązywaniu nowych relacji, a także z osłabianiem już istniejących więzi. Konsekwencjami tej izolacji i postępującego osamotnienia jest hamowanie innowacji oraz spadek efektywności, co stanowi poważne ryzyko gospodarcze dla wielu firm.

Demograficzne konsekwencje

Niepokojące są również wyniki badań, opublikowane przez PubMed w 2021 roku. Wynika z nich, że wśród nastolatków oraz młodych dorosłych samotność oraz izolacja społeczna wiązały się zarówno ze złym zdrowiem psychicznym, jak i fizycznym. Wyniki wskazywały, że samotność wiąże się ze zwiększonym ryzykiem takich dolegliwości, jak astma, migrena, choroby zwyrodnieniowe stawów, nadciśnienie, szumy uszne i długotrwałe choroby psychiczne. Izolacja społeczna związana jest natomiast ze zwiększonym ryzykiem objawów depresji. Dalej idącymi konsekwencjami badanych zjawisk są problemy demograficzne, chociażby niska dzietność. W opublikowanym w dzienniku „The Guardian” felietonie socjolożka i ekonomistka Anna Gromada opisywała problem dramatycznego spadku dzietności w Polsce. Zdaniem ekspertki, współcześnie główną barierą w zakładaniu rodzin jest dla młodych narastająca samotność i związane z nią trudności w budowaniu relacji.

Według Gromady coraz więcej młodych Polek i Polaków żyje samotnie, a prawie połowa osób poniżej 30. roku życia nie jest w związku. Co więcej, w ostatnich latach przybyło około milion jedno-osobowych gospodarstw domowych. Autorka określa to zjawisko mianem „epidemii samotności”, która jest niemożliwa do zwalczenia poprawą kondycji gospodarczej czy transferami socjalnymi wspierającymi rodziny z dziećmi. Badaczka zwraca także uwagę na to, że kwestia malejącej liczby urodzeń to przede wszystkim problem społeczny i emocjonalny. Młodzi ludzie coraz częściej przyzwyczajają się do życia w pojedynkę, a przez trudność w znalezieniu partnera pozostają samotni i nie zakładają rodzin.

Samotność ludzi młodych przybrała w XXI wieku postać poważnego problemu społecznego. Większość społeczeństwa, zwłaszcza młode osoby, przyzwyczała się do formy kontaktu za pośrednictwem chociażby mediów społecznościowych. Interakcje te jednak nie dają takiej satysfakcji i nie pozwalają zbudować tak głębokiej relacji z drugim człowiekiem, jak bezpośredni kontakt. Jak pokazują wymienione wyżej badania – internet, który miał stanowić ułatwienie w komunikacji, coraz częściej zwiększa dystans między ludźmi. Co więcej, kierunek rozwoju technologii i usług cyfrowych sprzyja postępującej atomizacji społeczeństwa. Dotarliśmy do etapu, w którym nieustanny rozwój i postępująca cyfryzacja stały się dla nas pułapką, a jednym z największych wyzwań okazuje się zwalczenie problemu samotności. Zjawiska, którego skala urosła do miana poważnego wyzwania, stojącego przed społeczeństwem XXI wieku.

Roksana ŚWIĘTOCHOWSKA

Na rozstrzygnięcia tej uwielbianej przez wielu produkcji czekaliśmy trzy i pół roku, a gdy w końcu nadeszły, oczekiwania były tak wysokie, że trudno było im sprostać. Pod koniec ubiegłego roku odbyła się premiera ostatniego sezonu serialu „Stranger Things” – produkcji, która przez blisko dekadę utrzymywała pozycję jednej z najlepszych serii Netflix. Jak zatem wypada zwieńczenie tak wyjątkowego dzieła bracia Duffer?

W 2016 roku powstało dzieło, które pomimo początkowych obaw, zostało przyjęte z ogromnym entuzjazmem. Oryginalność tego serialu okazała się strzałem w dziesiątkę i nowa produkcja bardzo szybko zgromadziła wokół siebie rzesze fanów. Już rok później miała miejsce premiera drugiego sezonu. W zaledwie 17 odcinkach twórcy serii, bracia Duffer, stworzyli wyjątkową historię.

Czterech 12-letnich chłopców spędza wieczory, grając w „Dungeons & Dragons” w małym miasteczku Hawkins, w stanie Indiana. Do ich paczki dołącza Jedenastka – dziewczynka obdarzona wyjątkowymi umiejętnościami. Kiedy jeden z chłopców znika w niewyjaśnionych okolicznościach, w miasteczku zaczynają dziać się coraz dziwniejsze rzeczy. Zrozpaczona matka komunikująca się z synem za pomocą światła; szeryf z traumatyczną przeszłością; nastolatkiwie „polujący na potwory”; a przede wszystkim dziecięce śledztwo na czele z dziewczynką, która zaskakująco wiele wie – to materiał na naprawdę dobry scenariusz.

W 2019 roku pojawił się trzeci sezon, a w 2022 – czwarty. Klimat, fabuła oraz charakterystyczna dla serialu tajemniczość uległy wyraźnym zmianom, jednak nie aż tak radykalnym, jak w przypadku piątego, ostatniego sezonu, którego niedawna premiera wywołała żarliwe dyskusje.

Ciężar oczekiwań

Podczas seansu piątego sezonu „Stranger Things” dość szybko można odnieść wrażenie, że jest on stworzony nieco na siłę. Bracia Duffer niewątpliwie chcieli zamknąć swoją historię finałem godnym całego projektu, jednak nie wszystkie kwestie zostały przez nich odpowiednio przemyślane. Przede wszystkim zabrakło wyczucia oczekiwań fanów, którzy liczyli na konty-



Mural zapowiadający finałowy sezon „Stranger Things”.

” Powodem, dla którego „Stranger Things” można było nazwać serialem naprawdę straszonym, była jego tajemniczość. W pierwszych dwóch sezonach twórcy świadomie unikali bezpośredniego ukazywania głównego rywala, który działał z ukrycia i wpływał na bohaterów w sposób pośredni.

nuację wyjątkowej, oryginalnej opowieści, a nie na powielanie znanych już schematów i motywów. O ile w poprzednich sezonach bohaterowie mierzyli się z różnymi formami zła, o tyle w piątej odsłonie serialu otrzymaliśmy bezpośrednią kontynuację czwartej – kolejną walkę z Vecną. Postać ta, zamiast zyskiwać na sile i budzić coraz większy respekt, stopniowo traciła swoją grozę, by ostatecznie zostać pokonaną zaskakująco szybko i bez większego wysiłku. W czwartym sezonie Vecna atakował umysły swoich ofiar i pozostawał niemal niewidoczny dla bohaterów. Tajemniczość jego działań skutecznie budowała atmosferę horroru, natomiast w piątym sezonie antagonistą stał się przewidywalny, przez co napięcie wyraźnie osłabło.

Odejście od konwencji

Powodem, dla którego „Stranger Things” można było nazwać serialem naprawdę straszonym, była jego tajemniczość. W pierwszych dwóch sezonach twórcy świadomie unikali bezpośredniego ukazywania główne-

go rywala, który działał z ukrycia i wpływał na bohaterów w sposób pośredni. Cały wątek związany z „Drugą Stroną” – alternatywnym wymiarem istniejącym równoległe do świata ludzi – budował mroczny, zagadkowy klimat całej fabuły. Bracia Duffer mieli jednak na finałowy sezon zupełnie inne plany. Tajemniczość zniknęła w momencie, gdy Vecna przeniknęła do ludzkiego świata. Każde kolejne przejście bohaterów na „Drugą Stronę” stało się dla nich niemal rutyną, podczas gdy w pierwszym sezonie wiązało się ono z ogromnym ryzykiem i poświęceniem. Serial wyraźnie stracił swój mroczny klimat – ten sam, dzięki któremu zgromadził wokół siebie tak wielu fanów, którzy to z każdym kolejnym sezonem stawali się coraz bardziej rozczarowani. Twórcy odebrali produkcji to, co czyniło ją wyjątkową i oryginalną. Piąty sezon przestał być unikatowy, a zaczął przypominać niedaną wersję „Harry’ego Pottera” lub innego klasycznego dzieła, w którym głównym motywem jest schematyczna walka dobra ze złem.

Bohater zbiorowy

W pierwszym sezonie „Stranger Things” akcja skupiała się na niewielkiej grupie bohaterów, jednak w kolejnych odsłonach ich liczba stopniowo rosła. Do pierwotnej obsady dołączyli między innymi Max, Robin, Erica i Murray, a w piątym sezonie istotną rolę zyskały także Holly i Karen Wheeler. Każdy sezon wprowadzał także nowe postacie ważne dla rozwoju fabuły.

Mimo dużej liczby bohaterów, bracia Duffer we wcześniejszych sezonach umiejętnie dzielili ich na mniejsze grupy, co porządkowało narrację i pozwalało na równomierne rozłożenie czasu ekranowego. W piątym sezonie twórcy zrezygnowali z tego rozwiązania, traktując bohaterów niemal jak zbiorowość. Doprowadziło to do fabularnego chaosu i ograniczenia znaczenia poszczególnych postaci.

Najbardziej odczuwalne jest to w przypadku Mike’a, który z kluczowego bohatera stał się niemal zbędny, oraz Joyce, sprowadzonej głównie do roli nadopiekuńczej matki. Jej jedynym wyróżniającym się momentem pozostaje zabicie Vecny, które stanowi dla niej symboliczne katharsis i ratuje odbiór tej postaci.

Druga, lepsza strona

Pomimo iż piąty sezon „Stranger Things” nie spełnił oczekiwań wielu fanów i nie należy do najlepszych w całym serialu, nie można

go całkowicie skrytykować. Wielu widzów tej produkcji liczyło na zupełnie inne zakończenie historii bohaterów z Hawkins, stąd też premiera wywołała falę negatywnych opinii. Sądzę, że część widzów zapomniiała skupić się na tym, że nadal mamy do czynienia z bardzo dobrą produkcją, a rozczarowanie mogło przyćmić wciąż obecną wyjątkowość serialu.

Piąty sezon obfituje w piękne, a zarazem przemyślane sceny. Wiele wątków, na których wyjaśnienie widzowie długo czekali, dobiega końca. Relacje między bohaterami otrzymują wzruszające momenty pełne emocjonalnych rozmów, takich jak dialog Jedenastki z jej ojcem Hopperem, który dostarcza widzom dużej dawki nostalgii i w wielu przypadkach także łez. Nawiązania do poprzednich sezonów budują wspomnieniowy charakter serialu, dzięki czemu zostają domknięte sprawy, które towarzyszyły fanom przez ostatnie 10 lat.

Wieńcząca czwarty odcinek, a zarazem pierwszą część piątego sezonu, walka demogorgonów z głównymi bohaterami i żołnierzami należy do najlepszych w całym serialu. Świadczy o tym również fakt (o czym wie niewiele osób), że została nakręcona zaledwie w kilku ujęciach.

Zarzutów wobec finału można mieć wiele – i w dużej mierze słusznie, ponieważ z pewnością nie był to najlepszy sezon. Przy zwieńczeniu tak wybitnego dzieła oczekiwania były jednak tak wysokie, że rozczarowanie wydawało się niemal nieuniknione. Rzesza fanów, którą serial „Stranger Things” zgromadził na przestrzeni niemal 10 lat, sprawiła, że jego zakończenie stało się zadaniem wyjątkowo trudnym. Bracia Duffer doskonale zdawali sobie z tego sprawę i nie chcieli zamknąć historii w jednoznaczny, ostateczny sposób.

To właśnie tłumaczy finałowe sceny, które pozostawiają widza z przestrzenią do refleksji. Twórcom zależało na tym, by fani sami mogli zdecydować, jakie zakończenie jest im najbliższe – być może dlatego, że nawet oni sami nie byli pewni, jak najlepiej domknąć tę opowieść. Poprzeczka została zawieszona niezwykle wysoko. Trzy i pół roku, które upłynęły od premiery czwartego sezonu, tylko spotęgowało napięcie oraz ogromne oczekiwania wobec piątej, finałowej odsłony.

Choć bracia Duffer mogli wiele wątków poprowadzić lepiej, prawda jest taka, że w przypadku tak kultowego i nostalgicznego serialu trudno było o „dobre” zakończenie. Nikt bowiem tak naprawdę nie chciał żegnać się z tą historią.

Małgorzata WALKOWIAK

Miłość na łyżwach

Świat oszalał na punkcie pary fikcyjnych hokeistów. Pobite zostały wieloletnie rekordy rankingowe, a na amerykańskim HBO obejrzano już ponad 600 milionów minut serialu. Absolutna histeria towarzyszy publicznym wystąpieniom aktorów, którzy jeszcze kilka miesięcy temu obsługiwali restauracyjne stoliki. A wszystko to za sprawą „Heated Rivalry”.

„Gorąca rywalizacja”, bo pod takim tytułem serial trafi do Polski, jest adaptacją popularnej powieści kanadyjskiej autorki Rachel Reid. „Heated Rivalry” jest drugą częścią sześciotomowej serii pod tytułem „Game Changers”. Każda z książek to queerowy romans skupiający się na postaci innego, fikcyjnego hokeisty i jego partnera, który w większości przypadków jest oderwany od świata sportu. Tylko w przypadku „Heated Rivalry” oraz bezpośredniego sequełu – „The Long Game” (szósty tom serii), mamy do czynienia z parą zawodników. Stawka jest więc jeszcze wyższa, ryzyko jeszcze dostrzegliśmy, a potrzeba ukrywania nie wynika jedynie z problemów z samoakceptacją. Serial pozostaje niezwykle wierny pierwowzorowi literackiemu zarówno w kontekście rozwoju fabuły, jak i skali ukazwanej wprost erotyki. Lepiej nie oglądać z rodzicami.

Romans w wersji macho

Głównymi bohaterami „Gorącej Rywalizacji” są hokeiści Shane Hollander oraz Ilya Rozanov, Kanadyjczyk i Rosjanin. Rozwój ich karier w północnoamerykańskiej lidze hokeja, NHL (czy też MLH na potrzeby serialu) śledzimy od samego początku, kiedy jako nieznani obywateli rekruci skupiają na sobie uwagę świata sportu. Jeszcze jako nastolatki, porównywani są ze sobą, stawiani w opozycji. Trafiają do dwóch najlepszych w lidze drużyn z długoletnią historią zacieklej rywalizacji. Media szybko stwarzają więc wokół zawodników narrację o współzawodnictwie i wzajemnej niechęci. Prawda jest jednak zupełnie inna. Iskry pojawiają się już przy pierwszym spotkaniu, a zazdrość i wzajemny podziw zaczynają łączyć się z coraz silniejszym pożądaniem. Bohaterowie każdą okazję do bycia razem spędzają na oddawaniu się gorącemu romansowi, starannie utrzymywanemu w sekrecie. Zakazany owoc smakuje najlepiej, problemy zaczynają po-



Sidney Crosby (po prawej) i Alexander Ovechkin byli inspiracją dla postaci głównych bohaterów serialu.

„Pierwsze odcinki to niekończące się przeskoki czasowe. Na przełomie godziny poznajemy kilka lat życia bohaterów, którzy albo spotykają się po przeciwnych stronach lodowiska, albo w hotelowym łóżku. Większość serialu operuje na bardzo wysokich obrotach.

jawiać się, gdy do gry wkraczają uczucia.

Serial porusza więc dość znaną formułę gatunkową, zakazanej miłości, zrodzonej w nieprzychylniej rzeczywistości. W lidze hokejowej króluje maczystowski model męskości, a na porządku dziennym są homofobiczne żarty. Nic tak nie wyprowadza z równowagi, jak bycie nazwanym gejem. Wymieniając się numerami telefonu, bohaterowie przyjmują więc aliasy Jane i Lily, dla bezpieczeństwa, w razie, gdyby kolega z drużyny spojrzał przez ramię i przeczytał bardziej pikantną wiadomość. Obaj wyrastają w przeświadczeniu, że emocje trzeba ukrywać, tłumić je w sobie, bo ich okazanie świadczy o słabości. Shane długo musi walczyć z samym sobą, żeby uznać swoją homoseksualność. Ilya zalewany jest roszczeniami od rodziny, która widzi w nim przede wszystkim bankomata, nie interesując się jego osiągnięciami. Obaj noszą maski. Pierwszy to perfekcjonista, całkowicie skupiony na hokeju, drugi to kobieciarz, agresywny na lodzie, utalentowany, lecz traktujący grę głównie jako

zabawę. Pod fasadą skrywa się jednak znacznie więcej.

Co ciekawe, to kobiety odegrają kluczową rolę w rozwoju relacji głównych bohaterów. Svetlana (Ksenia Kharlamova), przyjaciółka z dzieciństwa oraz przygodna partnerka seksualna, szybciej niż Ilya wyczuwa, że relacja z „Jane” jest czymś więcej. Rose (Sophie Nélisse) wyjaśnia Shanowi, że uczuć zazwyczaj nie trzeba wymuszać, a bycie szczerym z samym sobą może okazać się wyzwajające. Podobne typy postaci znamy już z niejednej produkcji. W przypadku „Gorącej rywalizacji” zdają się one jednak wyjątkowo dobrze ukształtowane i interesujące same w sobie.

„I’m coming to the cottage”

Interesująca jest również struktura serialu. Pierwsze odcinki to niekończące się przeskoki czasowe. Na przełomie godziny poznajemy kilka lat życia bohaterów, którzy albo spotykają się po przeciwnych stronach lodowiska, albo w hotelowym łóżku. Większość serialu operuje na bardzo wysokich obrotach. Obawa przed ujawnie-

niem sekretu splata się z seksualnym spełnieniem, rywalizacja sportowa ze skomplikowanymi relacjami rodzinnymi. Dynamiczny montaż połączony z doskonale dobraną ścieżką dźwiękową składa się na intensywny, satysfakcjonujący dla widza seans. „Gorąca rywalizacja” najbardziej zyskuje jednak po zwolnieniu tempa. Odcinek piąty przynosi zdecydowaną zmianę tonu, zmniejszenie temperatury. Bohaterowie zdają się dojrzewać na naszych oczach, pozwalać sobie na coraz więcej szczerości. A to, co między nimi się wydarzyło, sprawiło że piąty odcinek zyskał jedną z najwyższych ocen serwisu IMDb w historii jego funkcjonowania.

Prawdziwym fenomenem okazał się również odcinek finałowy, oczekiwany przez milionową publiczność. Fraza „I’m coming to the cottage” stała się dla fanów mantrą, obecnie przeobrażoną w „I’m still at the cottage”. Dla zobrazowania skali wydarzenia zaznaczyć można, że „Gorąca rywalizacja” znacząco przycięła wyczekiwana od dwóch lat premierę finału „Stranger Things”. Oczywiście podobne zestawienia, pobijane rekordy oraz detronizacja wielkich, kasowych produkcji, świadczą przede wszystkim o astronomicznej popularności. Nie oszukujmy się, serial jest dobrze zrobiony, obsada świetna, ale nie wkraczamy tutaj na nowe wyżyny telewizyjnej jakościowej. Serial nie próbuje być niczym więcej niż romansiem, w tym też jego siła.

Wyjątkowe wydaje się jednak, że to właśnie względnie niszowa produkcja o homoseksualnej parze hokeistów osiągnęła takie wyniki.

Nowe twarze

Prawdopodobnie najmocniejszą stroną „Gorącej rywalizacji” są obsadzeni w głównych rolach aktorzy. Hudson Williams (Shane Hollander) i Connor Storrie (Ilya Rozanov) w wielkim świecie kina stawiają dopiero pierwsze kroki. Brak tutaj koneksji w postaci wujków ze studiów filmowych, czy tatusiów milionerów, zamiast tego mamy dwóch aktorów o skromnych początkach, którzy bez reszty oddali się swoim rolom, obnażając się przy tym emocjonalnie i nie tylko. W przypadku postaci Ilyi wrażenie robi również okazała porcja rosyjskich dialogów. Znaczna część widzów była przekonana, że Storrie biegle posługuje się tym językiem.

Szczególnie ciekawy wydaje się sposób, w jaki obaj aktorzy prezentują się również poza ekranem. Wydają się zupełnymi przeciwieństwami swoich ról, jednocześnie już teraz kształtują dla siebie charakterystyczną markę. Oczywiście, jak zawsze w przypadku popularnej produkcji podejmującej tematykę LGBTQ+ nie obyło się bez oskarżeń o queerbaiting (wciąż trzeba przypominać, że od aktorów nie należy nam się nic poza dobrze zagrąną rolą, a tutaj obowiązek ten został zdecydowanie spełniony). Zaskakiwać może, że jeszcze kilka miesięcy temu obaj pracowali jako kelnerzy, a ich doświadczenie ogranicza się do epizodycznych ról i niezależnych filmów krótkometrażowych. Zdają się jednak dobrze przygotować na otwierającą się drogę do wielkiej sławy.

Jakkolwiek górnolotnie może to zabrzmieć, „Gorąca rywalizacja” ma potencjał, aby znacząco zmienić sposób, w jaki traktowane są queerowe produkcje. Serial jest dowodem na to, że niepotrzebne są wielkie nazwiska, że seksualność może być istotnym dla rozwoju fabuły elementem, a wyjście poza zamkniętą niszę jest możliwe (przynajmniej dla serii skupionych na mężczyznach). Dzieło może również wpłynąć na sytuację homoseksualnych sportowców. Hokeista Jesse Kortuem wymienia „Gorącą Rywalizację” jako inspirację dla swojego coming outu. W NHL nie ma żadnego aktywnego zawodnika, który ujawniłby swoją queerowość. Nie powstrzymało to ligi przed próbami czerpania zysków z sukcesu serialu. Można mieć tylko nadzieję, że nacisk społeczny skutkuje faktycznymi zmianami w świecie hokeja, pozwalającymi marginalizowanym sportowcom poczuć się bezpiecznie.

Anna TOMCZAK

Pierwsza połowa stycznia przyniosła liczne pokazy przedpremierowe jednego z najbardziej wyczekiwanych tytułów roku.

Sale wypełnili kinomani pełni nadziei, że oto właśnie patrzą na kolejny triumf Timothée Chalameta w roli z oscarowym potencjałem. Co ma do przekazania film o młodym mężczyźnie, który przekonany o swojej tytułowej wielkości, postanawia spełnić marzenie o byciu najsłynniejszym amerykańskim tenisistą stołowym?

Czuliście się kiedykolwiek zawiedzeni przez film, który miał rzekomo być nowym faworytem publiczności i pretendentem do Oscara? W moim przypadku miało to miejsce wielokrotnie. „Wielki Marty” wzbudził we mnie jednak odczucia zupełnie odwrotne, choć nie udało mi się na seans pozbać oczekiwania. Przeciwnie, liczyłam na podobne emocje, jak przy seansie „Challengers” przed dwoma laty. Nabyłam bowiem sympatii do historii o młodych, ambitnych sportowcach, przeżywających swoje wzloty, upadki i nie zawsze przyjemne zderzenia z rzeczywistością...

Wbrew epoce

Główną osią fabularną filmu i tym, co najbardziej samą historię napędza, jest dążenie dwudziestoparoletniego Marty’ego Mausera do wielkości, w wielu tego słowa znaczeniach. Centralną motywacją bohatera jest zostanie najsłynniejszym amerykańskim tenisistą stołowym, co w dzisiejszych czasach, choć może brzmieć nieco nad wyraz ambitnie, byłoby prędzej możliwe do zrealizowania.

Jednak w USA w lat 50. XX wieku ta dyscyplina sportu pozostaje wciąż niszowa i nierozpropagowana, tym bardziej na gruncie zawodowstwa. Uzdolniony, a przede wszystkim zdeterminowany zawodnik wygrywa jednak mistrzostwa w Londynie, co przynosi mu ogromną sławę. Ta jednak okazuje się dużo bardziej skomplikowana do nawigowania niż początkowo przypuszczał. Z pozoru taki zarys fabuły nie brzmi szczególnie oryginalnie – mimo to, w „Martym” niezapomnianych przeżyć nie brakuje.

Prawo do wielkości?

Ambicja jako motyw centralny to jedna z najbardziej interesujących tendencji we współczesnym kinie, gdyż można ją rozumieć i ukazać na wiele sposobów. Marty zaczyna jako sprzedawca butów w sklepie

M jak Marty



W rolę głównego bohatera wcielił się Timothée Chalamet.

„W rolę Mausera nie mógłby się wcielić nikt inny niż Timothée Chalamet. Młody aktor niewiarygodnie rozwinął się od czasów grania skomplikowanych wewnętrznie nastolatków. W filmie Josha Safdiego pokazuje zupełnie nową jakość, odkrywa nieeksplorowane we wcześniejszych projektach poziomy swoich umiejętności i zachwyca nawet sceptyków.

swojego wujka – to stabilna posada, która zapewnia nawet drobne możliwości rozwoju. Od początku jednak widzimy to, o czym nie pozwala się nam zapomnieć do samego końca – Mauser jest stworzony do wielkości. Co więcej, manifestuje to wyjątkowo otwarcie, przedstawiając się jako

człowiek zrozumiący z nieprzeciętnie wybujałym ego. Ta cecha postaci wydaje się z początku szczególnie irytująca, jakby stała na drodze do sympatyzowania czy też utożsamienia się z nią. Podejście do życia głównego bohatera, dotyczące zarówno codzienności, jak i sportu,

można wówczas błędnie określić jako „wszystko mi się należy”. Wraz z postępowaniem fabuły zaczynamy powoli rozumieć, co napędza Marty’ego, daje nam to wgląd w jego (nierzadko wątpliwy) system wartości. Zauważamy, że „wszystko mi się należy” powinniśmy rozwinąć o „bo ciężko na to zapracowałem”. Tego bowiem nie sposób bohaterowi odmówić. Możemy skupiać się na jego licznych przywarach, ale nie jesteśmy w stanie tej roszczeniowości przypisać jedynie arogancji...

Sam przeciw światu?

...choć tej również graczowi nie brakuje. I słowo „gracz” jako „player” zostało tu użyte nieprzypadkowo, bowiem jego dwoistość doskonale opisuje bohatera granego przez Chalameta. Oprócz swojego dosłownego znaczenia, mężczyzna „gra”, a może raczej „pogrywa” sobie z uczuciami wszystkich w swoim otoczeniu, szczególnie kobiet. Jego zdolność manipulacji zostaje doskonale wyeksponowana w filmie i sprawia wrażenie reakcji obronnej. Wydaje się bowiem, jakby Marty był przekonany, że jedyną możliwością osiągnięcia tego, co osiągnąć sobie postanowił, są kombinowanie, kłamstwa i manipulacje. Trudno dziwić się takim zachowaniom i wnioskom, kiedy bliżej spojrzysz na sposób, w jaki traktują go inni – nawet okłamując go ukochana. Świat utwierdza go w przekonaniu, że nikt nie jest szczery, więc i on nie musi być. Doskonale ukazano to w jednej z finałowych sekwencji filmu, kiedy wskutek kilku powtarzających się niepowodzeń, Marty zaczyna zrzucać odpowiedzialność na wszystko wokół niego, nawet elementy otoczenia, takie jak kabel na podłodze. Widzimy wówczas, że w przekonaniu o swojej wielkości nie dopuszcza możliwości, iż to on mógł popełnić błąd. Z

przyzwyczajenia do rzeczywistości pełnej nieprawdy, uważa, że jest sabotowany.

Oscarowe zagranie

W rolę Mausera nie mógłby się wcielić nikt inny niż Timothée Chalamet. Młody aktor niewiarygodnie rozwinął się od czasów grania skomplikowanych wewnętrznie nastolatków. W filmie Josha Safdiego pokazuje zupełnie nową jakość, odkrywa nieeksplorowane we wcześniejszych projektach poziomy swoich umiejętności i zachwyca nawet sceptyków. Sam Marty to postać niezwykle bogata w kontrasty – z jednej strony nieco zbyt pewny siebie zawodnik, z drugiej młody człowiek, dla którego szybko rozwijający się świat bywa przytłaczający. Wspina się na szczyty sportowej kariery, ze świadomością niestabilnego charakteru tej profesji. To, ile może stracić, jest zupełnie nieistotne dla tenisisty. Widzi tylko, jak wiele może zyskać i zauważa, jak czuje się będąc „supreme”. Dostrzegam w bohaterze pewne odzwierciedlenie Chalameta: sam aktor także zyskał imponującą popularność w bardzo młodym wieku i w zrozumiały sposób korzystał z niej zarówno na polu zawodowym, jak i prywatnym. Od roli w „Tamte dni, tamte noce” zadowolił się w mainstreamie na dobre, a każdy jego krok jest obserwowany przez rzeszę fanów. W filmie doskonale widać, jak mężczyzna bawi się swoim nowym wcieleniem, ale i utożsamia z wieloma aspektami szybkiego zdobycia wielkiej sławy. Dzięki temu, że Mauser to przedłużenie Chalameta, staje się dla nas dodatkowo wiarygodny i znajomy. Wybaczamy mu pewne zachowania (może nawet podświadomie) ze względu na to, ile prawdy widzimy w tej postaci. Sam aktor tworzy w ten sposób autoironiczną legendę na swój temat, jednocześnie subtelnie rozprawiając się z licznymi słowami krytyki na temat tego, że „wyraźnie się zmienił” od swojego udziału w queerowym melodramacie. W grze aktorskiej Timothée’go widać ogromny rozwój: jest dynamiczna, przekonująca i zróżnicowana emocjonalnie.

„Wielki Marty” ciekawie diagnozuje także tendencje amerykańskie w latach 50. XX wieku. Odnacza się godną pochwały zdolnością autoironii, zarówno w zakresie zderzenia z rzeczywistością „amerykańskiego snu”, jak i pojęcia wielkości czy gwiazdorstwa, nader często ściśle połączonego z kreacją oraz nieprawdą. I choć bezsprzecznie żart o Holokauście wzbudzi w was przeogromne ciarki niezgody (nie mówiąc już o scenie, która wstawiona została do filmu chyba wyłącznie po to, by zszokować), dajcie się przekonać i koniecznie wybierzcie się do kina w przerwie od nauki podczas sesji lub chwilę po niej!



Piłka pingpongowa to prawdopodobnie najważniejszy rekwizyt w filmie.

Maria PILARSKA

Ileż złego narobiły w muzyce lata 2000. Dogorywającemu rockowi na pomoc rzuciło się pokolenie pop-punkowców, indie-rockowców, post-grunge'owców i nu-metalowców, tylko pogarszając jego kondycję. Metal już nie ten, hip-hop może i popularny, ale nie tak dobry, jak dekadę wcześniej, a w popie to wiadomo, że nie ma na co liczyć. Kiedyś młodzież miała artystów, teraz tylko nadzieja, że wyrośnie z nowych idoli. Czy tak się stało?

Jeszcze kilka lat temu takie opinie o czołowych artystach lat 2000. wcale nie były rzadkością. Być może mamy do czynienia z klasycznym konfliktem pokoleń. Pamiętam aurę dystansu wobec wykonawców takich jak Linkin Park czy Green Day. Posiadali oni grono oddanych fanów, a równocześnie znacząco odrzucano ich w rockowo-metalowych środowiskach. Byli przedmiotem kpin tworzących atmosferę pozornie obiektywnej słabości ich muzyki. Obecnie widać zmianę percepcji, chociażby na przykładzie rodzimej Comy. Łódzka grupa przez lata spotykała się zarówno z pozytywnym odbiorem, jak i z naporem negatywnych reakcji. Obserwując występ muzyków na Pol'and'Rock Festival 2024, miałem wrażenie, że wrócili oni silniejsi niż kiedykolwiek. Pod sceną tłum ściśniętych fanów, w powietrzu napięcie i ekscytacja przed startem, szalejące pogo. Bilety na kolejne koncerty szybko się wyprzedawały, skala widowisk imponowała, a pozytywne opinie dopełniały triumfalny powrót. Lata 2000. stały się ostatnio obiektem wzmożonej nostalgii, szczególnie w sferze muzycznej. Dają temu wyraz choćby liczne nagrania na TikToku

Ala za co?

Nostalgia wobec muzyki lat 2000. dotyczy przede wszystkim mainstreamu. Masowość, wyidealizowany i uproszczony obraz rzeczywistości oraz połączenie bez troskiej zabawy z refleksją o upływającym czasie współgrają z największymi przebojami danych czasów. Jednocześnie główny nurt w tych latach nie prezentował się zbyt interesująco; scena rockowa skupiła się na powrocie do źródeł i recyklingu sprawdzonych motywów.

Szczególnie objawia się to w przypadku pop-punku i post-grunge'u. W tym pierwszym popowe wygładzenie pozbawia punka surowości i agresji, a punkowa prostota staje na drodze aranżacyjnym urozmaiceń. Połączenie to ma sens, kiedy do

” Brytyjczycy wprowadzili rocka w XXI wiek, wzbogacając go o wpływy elektroniki, trip-hopu, ale i mieszając go m.in. z jazzem, dokonując znakomitych rzeczy na polu aranżacji, tekstur, brzmienia czy harmonii. Melodyjność i introwertyczna, wyalienowana aura umożliwiły przy tym połączenie eksperymentów z masową atrakcyjnością.

części składowych dołączają również inne inspiracje. Nurt miał w sobie też aurę nie tyle młodości, co niedojrzałości i niewyszukania. Nawet jego dzisiejsza percepcja otwarcie definiowana jest przez nostalgię. Nie oznacza to, że nie pojawiło się w nim nic godnego uwagi, jednak jedno z bardziej ambitnych przedsięwzięć pop-punkowych pokazuje jego słabość. „American Idiot” Green Day dostarcza kilku bardzo dobrych rockowych przebojów, ale ugina się pod ciężarem swoich ambicji. Poziom projektu jest niewyważony, a materiał bardziej sprawdziłby się jako zestaw chwytliwych piosenek aniżeli realizacja rock opery. Bez troska pop-punku potrafi jednak przekonać do siebie odbiorcę bardziej niż miałość post-grunge'u. Pomijając chlubne wyjątki pokroju Foo Fighters, zespoły post-grunge'owe odznaczały się repetycyjnością, obudowując przybrudzonym brzmieniem schematyczne, niewyszukane radiowe kawałki. Nickelback i Creed jednocześnie pięły się w górę list przebojów, jak i należały do najmniej lubianych zespołów rockowych. Z czasem i komercyjne zainteresowanie zmalało, co Creed dotkliwie odczuło. Powrót grupy w 2023 roku cieszył się jednak znaczącym zainteresowaniem – szybko wyprzedano bilety i powstały liczne tiktokowe virale.

Style, które zdefiniowały pierwszą dekadę XXI wieku, powracają, inspi-

rując współczesnych wykonawców i przywracając sławę zapomnianym artystom. Uprzednio niewiele znaczący głos dzieciaków stał się istotny w dyskursie popkulturowym. Przy niedoskonałościach czołowych nurtów lat 2000. ich renesans nie jest kwestią odkrycia muzycznej wartości, a fali nostalgii, tudzież integracji fanów w innych aspektach. Przykładowo My Chemical Romance zgromadziło wokół siebie publiczność utożsamiającą się z przekazem nieakceptowanym przez otoczenie outsiderów” na „Przykładowo My Chemical Romance zgromadziło wokół siebie publiczność utożsamiającą się z przekazem nieakceptowanych przez otoczenie outsiderów”.

Wydaje się, że jednym z najtrwalszych elementów dziedzictwa grunge'u jest przyziemność rockowej gwiazdy. Powszechna w latach 80. stadionowość i archetyp rockowego herosa zostały zastąpione wizerunkiem chłopaków z sąsiedztwa otwierających się przed publicznością. Autentyczność, emocjonalność i możliwość identyfikacji były istotnymi wyznacznikami lat 2000. i pozostają nimi nawet po dziś dzień, również za sprawą aspektów takich jak studia domowe i internetowa dystrybucja, zwiększających indywidualne możliwości nagrania i promowania swojej muzyki.

Nie dziwi, że popularność zdobył w tamtym czasie nurt indie. Arctic Monkeys i Franz Ferdinand podbili

serca nowego pokolenia słuchaczy. Mainstreamowa alternatywa w gitarowych brzmieniach silnie osadzona jest w rozwiązaniach wypracowanych przez Sonic Youth, The Velvet Underground, Pixies, The Smiths czy Coteau Twins, niestety nowe zespoły nie rozwijają ich równie kreatywnie. Twórczość The White Stripes oddaje najważniejsze składowe rocka lat 2000. – powrót do źródeł (zakorzenie w bluesie), akcent na brzmienie i ekspresję przez dysonanse oraz przebojowość (wystarczy wspomnieć „Seven Nation Army”).

Na początku XXI wieku swoją pozycję cementował też hip-hop. Był on jednak w swoistym okresie przejściowym. Z komercyjnych i artystycznych sukcesów słynęli Eminem i Outkast, a nową erę większej fuzji z popem i nowoczesnego podejścia do produkcji sygnalizowały płyty Kanye Westa. Największe osiągnięcia nowej szkoły, z Kendrickiem Lamar na czele, miały jednak dopiero nadejść, a klasyczne brzmienia chyliły się ku końcowi.

Zainteresowanie hip-hopem pokazał nu-metal, łączący proste riffowanie, elektronikę i rap. Choć od początku nurt odznaczał się kontrowersyjnością i nieraz odmawiano mu przynależności do subkultury metalowej, dziś odbierany jest znacznie cieplej. To muzyka przede wszystkim skupiająca się na tworzeniu „bangerów”, do których będzie można tłumnie poskakać pod sceną. Toporny metal, nieudolny rap i efekciarska konsolista zdefiniowały twórczość Limp Bizkit. Z drugiej strony mamy Deftones, którzy wychodząc z tak ograniczonego stylu jak nu-metal, sięgnęli też po inspirację shoegaze'm, trip-hopem czy dream popem, dzięki czemu wprowadzili metal w nowe milenium.

W latach 2000. występowało wiele ciekawych zjawisk w obrębie faktycz-

nej alternatywy. Domowe nagrywanie pozwoliło stworzyć porażający i oryginalny stylistycznie „Deathcounsciousness” Have A Nice Life. Idea muzyki niezależnej wyjątkowej realizacji doczekała się ze strony The Microp-hones. Kultem obrosła współpraca MF Dooma i Madliba w postaci „Madvillainy” – jednego ze szczytowych osiągnięć hip-hopu. Pop początku wieku w kontekście nostalgii jest obiektem szczególnej uwagi, jednak sprowadza się on w dużej mierze do potencjału imprezowego. Inaczej sprawa wygląda w jego artystowskich niszach, z pamiętnym, przesiąkniętym elektroniką „Vespertine” Bjork na czele. W tym przypadku mowa o ambitniejszej niszy mainstreamu, którą zagospodarował również zespół Radiohead.

Brytyjczycy wprowadzili rocka w XXI wiek, wzbogacając go o wpływy elektroniki, trip-hopu, ale i mieszając go m.in. z jazzem, dokonując znakomitych rzeczy na polu aranżacji, tekstur, brzmienia czy harmonii. Melodyjność i introwertyczna, wyalienowana aura umożliwiły przy tym połączenie eksperymentów z masową atrakcyjnością. Po upływie lat spokojnie można zaliczyć ten zespół do grona klasyków rocka. Pozostaje żal, że jego działania to nieco jednostkowa rewolucja, której reszta sceny nie była tak skłonna się podjąć. Obecna fala nostalgii do lat 2000. może być chwilowym fenomenem pozostawiającym po sobie jedynie sympatię do tego, co z owej dekady pozostało. Zauważalny jest rozdźwięk między tym, co stanowi o jej wartości artystycznej a sentymentalnej. Czasem jednak oba te pola się pokrywają, potrafiąc nawet zaskoczyć szybkim wyprzedaniem się łódzkiego koncertu Deftones.

Aleksander GRĘDA



Koncert grupy Radiohead.

Początkowo podbiła księgarnie i media społecznościowe, teraz weszła na duży ekran. „Pomoc domowa” autorstwa Freidy McFadden wyszła poza strony książki i doczekała się filmowej ekranizacji z udziałem Sydney Sweeney oraz Amandy Seyfried. Czy kinowa wersja oddaje klimat powieści i potrafi zaskoczyć również tych widzów, którzy znają fabułę niemal na pamięć?

Doskonale pamiętam moment, w którym po raz pierwszy sięgałam po swoją kopię „Pomocy domowej”. Już sam opis fabuły z blurba wydał mi się dość sztampowy, a w głowie szybko zaczęły rodzić się pierwsze koncepcje dotyczące możliwego zakończenia losów zdesperowanej dziewczyny poszukującej pracy. Muszę przyznać, że częściowo moje przypuszczenia się sprawdziły – nie odebrało mi to jednak satysfakcji z lektury. Pióro McFadden potrafi skutecznie zatrzymać czytelnika, który z każdym kolejnym rozdziałem nie może oderwać palców od przewracanych kartek. Autorka umiejętnie żongluje perspektywą, co sprawia, że nawet przewidywalne schematy potrafią wciągać.

Sukces tej historii nie byłby możliwy bez BookToka – przestrzeni dla zaangażowanych użytkowników TikToka, w której algorytm podrzuca emocjonalne reakcje i recenzje powieści z różnorodnych gatunków literackich. Krótkie, intensywne thrillery psychologiczne idealnie wpisują się w potrzeby czytelników poszukujących historii możliwych do pochłonięcia w jeden wieczór. Twórczość autorstwa McFadden idealnie wpisała się w ten trend, co pozwoliło przekształcić „Pomoc domową” w viralową serię.

Decyzja studia Lionsgate o nabyciu praw do ekranizacji wydaje się zatem logicznym, kolejnym etapem monetyzacji historii, która już wcześniej została przetestowana na milionach odbiorców mediów społecznościowych. Również nie zaskakuje fakt, że teraz kinomaniacy pochłaniają ten thriller. Chętnie określają go mianem guilty pleasure.

Pęknięcia na idealnej fasadzie

Paul Feig, reżyser znany z takich hitów jak „Zwyczajna przysługa”, „Agentka” czy „Druhny”, zdecydował się na przedstawienie „Pomocy domowej” zgodnie z chronologicznym torem znanym z



„Podobnie jak w książce, i w filmie cechy bohaterów zostają celowo przerysowane. W pierwszym akcie scenariusza Rebekki Sonnenshine wyczuwalny jest isticie kempowy klimat. Z taką konwencją Seyfried ma już niemałe doświadczenie – i bez wątpienia to ona błyszczy najjaśniej z całej obsady.

książki. Film zaczyna się więc jak typowa opowieść spod znaku generycznych thrillerów erotycznych. Samotna i młoda Millie Calloway (Sydney Sweeney), desperacko potrzebująca pracy, ostatecznie dostaje tytułową posadę pomocy domowej. Tym samym zmienia swoją prowizoryczną noclegówkę w obskurnym samochodzie na urokliwą, choć niepokojącą rezydencję Winchesterów.

Pozornie idealny dom bardzo szybko okazuje się mieć trwałe pęknięcia. Plotkary z bliższego otoczenia pani domu, Niny (Amanda Seyfried), utrwalają jej wizerunek jako kobiety kompletnie nieprzewidywalnej, a momentami wręcz niebezpiecznej. Chłodne i nieprzyjemne podejście do Millie jedynie wzmacnia ten obraz, czyniąc z Niny stereotypową „szefową z piekła rodem”. Nie pomaga również obecność siedmioletniej córki, Cece (Indiana Elle), zachowującej się jak typowy, rozwy-

drzony dzieciak. Z pozoru zupełnie przeciwnym Niny jest jej mąż – Andrew, do którego trudno nie nabrać współczucia. Cieszy się on opinią przykładowego biznesmena i wzorowego ojca. Sam jednak stopniowo traci cierpliwość wobec kaprysów żony i zaczyna stawiać w obronie pozornie niewinnej Millie. Prędko jednak okazuje się, że bajka o Kopciuszku i rycerzu na białym koniu ma swoje mroczne oblicze. Historia nie ucieka bowiem od kłamstw i manipulacji, osadzonych w środowisku wyższej klasy społecznej.

Podobnie jak w książce, i w filmie cechy bohaterów zostają celowo przerysowane. W pierwszym akcie scenariusza Rebekki Sonnenshine wyczuwalny jest isticie kempowy klimat. Z taką konwencją Seyfried ma już niemałe doświadczenie – i bez wątpienia to ona błyszczy najjaśniej z całej obsady. Mimo wizualnych różnic względem literackiego pierwowzoru po

Bestsellerowa książka Freidy McFadden.

seansie trudno wyobrazić sobie aktorkę, która lepiej oddałaby emocjonalną huśtawkę tej bohaterki. Na jej tle Sweeney wypada nieco słabiej pod względem warsztatowym. Choć po intensywnych scenach akcji w trzecim akcie odnajduje swój rytm, to ogólnie jej gra wydaje się zbyt jednostajna.

Pozostali aktorzy również pozwolili sobie na świadomą zabawę rolami, co doskonale współgra z założeniami projektu. W końcu – podobnie jak książka – film nie do końca pełni funkcję opowieści ku przestrodze. Choć „Pomoc domowa” dotyka tematu przemocy, trudno uznać go za film interwencyjny czy społecznie zaangażowany. Problem ten pełni wyłącznie funkcję fabularnego katalizatora. Nie jest to jednak zarzut jednoznaczny – zarówno książka, jak i jej ekranizacja od początku funkcjonują w obrębie rozrywki, odsuwając dramat na dalszy plan.

Dlatego też „Pomoc domowa” to przede wszystkim dwugodzinny emocjonalny rollercoaster, który ma dostarczyć widzom adrenaliny, a nie egzystencjalnych refleksji. Ten cel bez wątpienia zostaje zrealizowany, co zapewne nie udało się bez sprawnego warsztatu reżyserskiego. Część widzów mogłaby unieść brwi na widok nazwiska Paula Feiga, gdyż jego portfolio wskazywało na

bardziej komediowe tony. Tymczasem ja nie miałam żadnych wątpliwości, że filmowiec udźwignie ten temat. Udowodnił już „Zwyczajną przysługą”, że potrafi łączyć humor z thrillerem. W przypadku „Pomocy domowej” również nie brakuje scen, które wręcz balansują na granicy autoparodii. Wcześniej wspomniana kempowa przesada nie jest tu przypadkiem, lecz elementem stylu podkreślającym fałsz i manipulację świata bogaczy.

Zaskakująca ekranizacja

Porównując film z książką w sposób bezspoilerowy, można otwarcie przyznać, że materiał źródłowy został oddany z dużym szacunkiem. Oczywiście nie obyło się bez pewnych zmian, natomiast trzon historii pozostaje wierny wizji McFadden. Najwięcej kontrowersji może wzbudzić finałowy akt, w którym część czytelników może poczuć się zawiedziona dokonanymi modyfikacjami.

Szczególnie rozczarowuje ograniczona obecność Michele’a Morrone w roli małomównego, lecz podejrzliwego ogrodnika Enzo. W wersji kinowej – poza budowaniem dusznej atmosfery wokół domu Winchesterów – jego postać staje się mniej użyteczna fabularnie. Szkoda, ponieważ w książce jego włoska narodowość miała większe znaczenie dla rozwoju akcji. Jego wątek w filmie został spłycony, co rodzi pewne wątpliwości dotyczące jego biernej postawy wobec wydarzeń rozgrywających się za zamkniętymi drzwiami rezydencji.

Należy jednak docenić elementy, które wzmocniły brutalność tej historii. W filmie połało się więcej krwi, co spotęgowało poczucie zagrożenia w tej skomplikowanej walce o wolność. Pozwoliło to Feigowi na większą spektakularność finału. Szkło się tłucze, skóra i kości pękają, a widz dostaje kulminację, która skutecznie maskuje momentami absurdalne rozwiązania scenariuszowe.

Jak czytelnicy dobrze wiedzą, Freida McFadden kontynuuje losy Millie w kolejnych powieściach. Filmowe zakończenie także powoduje, że możliwość powstania sequeła wydaje się oczywista. Studio Lionsgate zresztą już zdążyło potwierdzić, że Sweeney powróci do swojej roli. Ciepłe przyjęcie filmu przez widzów tylko potwierdza, że decyzja o zekranizowaniu serii McFadden była trafiona. „Pomoc domowa” ma wyraźny potencjał do stania się nową, dochodową franczyzą w świecie kina komercyjnego. Jako czytelniczka również będę czekać na kolejne części.

Kaja GRABOWIECKA

Równość płci w F1?

O kobietach w świecie motorsportu w ostatnich latach mówi się coraz więcej. F1 Academy ma być serią, która wypromuje młode zawodniczki i przygotowuje je do kolejnych szczebli kariery, u której szczytu ma być sama Formuła 1. W dobie mediów społecznościowych zawodniczki zdobywają coraz większą popularność, co powoduje wzrost dyskusji dotyczących potrzeby pójścia motorsportu z duchem czasu oraz wyrównania szans kierowców płci męskiej i żeńskiej.

Na papierze nie ma realnych przesłanek, dla których kobiety nie mogłyby uczestniczyć na równi z mężczyznami w najbardziej rozpoznawalnej serii wyścigowej świata. Bolidy są dostosowywane indywidualnie pod kierowcę, przez co różnice fizyczne nie wybijająby się tak bardzo, jak w piłce nożnej czy siatkówce, w przypadku których kobiety potrzebują osobnych rozgrywek. Nie istnieje żaden oficjalny zapis, który uniemożliwia kobietom starty w Formule 1 – dlatego więc mają one tak utrudnioną ścieżkę kariery?

Pionierki F1

Na przestrzeni 75-letniej historii Formuły 1 do startów zostało zgłoszonych zaledwie pięć kobiet, z czego faktycznie wystartowały jedynie dwie. Jedną z nich jest pochodząca z Włoch Maria Teresa de Filippis, która wystartowała w trzech wyścigach w latach 1958-1959, jednak ukończyła tylko jeden z nich. Druga to również Włoszka – Lella Lombardi, która wystartowała aż 12 razy w sezonach 1974-1976 w zespołach March, RAM i Williams. W swoim drugim starcie w karierze zdobyła pół punktu w Grand Prix Hiszpanii 1975. Niestety te zawody przeszły do historii również ze względu na tragiczny wypadek, w wyniku którego na miejscu zginęło czterech kibiców, a rywalizacja została przerwana. Był to jedyny dorobek punktowy Lombardi w karierze w F1, a zarazem jedyny taki przypadek w historii startów kobiet w tej serii. Od tego czasu żadna kobieta nie zakwalifikowała się do wyścigu, a ostatni potencjalny start został zgłoszony w 1992 roku, a więc ponad 30 lat temu.

Nie był to jednak ostatni raz, gdy przedstawicielki płci żeńskiej miały okazję jeździć bolidami Formuły 1. W 2012 roku hiszpańska zawodniczka Maria de Villota wzięła udział w testach do nieistniejącego już ze-



Lella Lombardi – jedyna kobieta w historii z punktami w F1.

” Już teraz zespoły Formuły 1 coraz chętniej promują kobiety ze swoich akademii juniorskich – wyraźnie widać to na przykładzie Red Bulla i Mercedesa. Zespół kierowany przez Toto Wolffa w poprzednim sezonie promował Doriane Pin niemal na równi z Kimim Antonellem czy George’em Russellem

społu Marussia. Znacznie bardziej znanym przypadkiem są jednak występy Susie Wolff w testach zespołu Williams w latach 2012-2015. Brała ona również udział w oficjalnych sesjach treningowych F1 podczas Grand Prix Wielkiej Brytanii oraz Grand Prix Niemiec w 2014 roku. Żona szefa Mercedesa od lat angażowała się we wspieranie karier kobiet w sportach motorowych, co ostatecznie doprowadziło do objęcia przez nią kluczowego stanowiska w inicjatywie, która ma realną szansę coś zmienić. Wcześniej istniały już inne serie wyścigowe przeznaczone dla kobiet w bolidach jednomiejscowych, m.in. Formula Woman w latach 2019-2022. Nowy projekt pełni jednak znacznie większą rolę, wyraźnie przybliżając się do poziomu F2 i F3.

Trampolina do F1?

Ruchem mającym wyrównać szanse kobiet w dostaniu się do wyższych serii wyścigowych miało być F1 Academy. Powstanie tej serii ogłoszono w listopadzie 2022 roku, a niedługo później ujawniono, że Susie Wolff obejmie stanowisko dyrektora zarządzającego. Założeniem projektu było wsparcie młodych zawodniczek w przejściu z kartingu do bolidów jednomiejscowych (seria była mniej

więcej na poziomie porównywalnym do Formuły 4) oraz umożliwienie im awansu do wyższych serii, takich jak Formuła 3 i Formuła 2, gdzie rywalizowałyby na równi z mężczyznami. Każda z 15 zawodniczek miała dwa lata (od sezonu 2027 będzie możliwość wydłużenia tego okresu do trzech lat), aby zaprezentować się w F1 Academy i zaważać o awans. Pierwsza edycja odbyła się w sezonie 2023 i składała się z siedmiu weekendów wyścigowych obejmujących kwalifikacje oraz trzy wyścigi. Finał rozegrano przy okazji Grand Prix F1 w Stanach Zjednoczonych, na zasadach podobnych do tych obowiązujących w F2 i F3. Każdy z dziesięciu zespołów F1 objął patronatem jedną zawodniczkę, natomiast pozostałe startowały pod barwami sponsorów, takich jak Puma czy Tommy Hilfiger. W pierwszym sezonie rywalizowało pięć zespołów znanych z F2 i F3, m.in. Rodin Motorsport i Prema Racing, a każdy z nich wystawiał po trzy zawodniczki. Od 2025 roku liczba ta wzrosła do sześciu zespołów i łącznie 18 zawodniczek.

Sezon 2024 przyniósł zmiany w formacie, jeszcze bardziej przybliżając serię do juniorskich kategorii F3 i F2. Każdy weekend startowy był bowiem rozgrywany przy okazji

wyścigów F1, co dodatkowo zwiększyło rozpoznawalność tej inicjatywy wśród widzów. Starty w serii zaczęły także zapewniać dodatkowe punkty do superlicencji umożliwiającej ściganie się w F1. Każdy z sześciu weekendów składał się z sesji treningowej, kwalifikacji oraz dwóch wyścigów. Od sezonu 2025 do pierwszego wyścigu stosowany jest odwrócony układ pierwszej ósemki według wyników kwalifikacji, podobnie jak w sprintach F2 i F3.

Losy zawodniczek startujących w F1 Academy szybko pokazały, że to przedsięwzięcie może skutecznie zrealizować swoje zadanie. Mistrzyni sezonu 2023, Marta Garcia, otrzymała fotele w regionalnej serii FRECA, będącej odpowiednikiem Formuły 3. Zwycięzcy sezonu 2024, Abbi Pulling, przeniosła się do podobnej serii – brytyjskiego GB3. Doriane Pin, która triumfowała w niedawno zakończonym sezonie 2025, awansowała z roli członkini akademii juniorskiej Mercedesa do stanowiska kierowcy rozwojowego – obecnie czekamy na dalsze ogłoszenia dotyczące jej kariery. Z kolei zdobywczyni drugiego miejsca w tym samym sezonie, Maya Weug, testowała samochód Ferrari 296 przeznaczony do rywalizacji w klasie GT3.

F1 Academy wzbudziła sympatię widzów oraz spore zaangażowanie fanów Formuły 1. Doczekała się nawet serialu dokumentalnego na Netflixie (podobnego formatem do „Formuła 1: Jazda o życie”), który ukazuje kulisy sezonu 2024. Seria współpracuje również z dużymi markami, takimi jak Lego czy Hello Kitty.

Czy jest to jednak realna droga do tego, by kobieta mogła dostać się do oficjalnych serii prowadzonych przez FIA, a w konsekwencji otrzymać fotele w bolidzie F1? Ze względu na to, jak świeżym projektem jest F1 Academy, na ten moment trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Z pewnością można jednak zauważyć pozytywne skutki – w seriach kartingowych startuje znacznie więcej dziewczyn, a coraz częściej otrzymują one szanse występów w seriach regionalnych, w których sukcesy odnosili obecni kierowcy F1. Istnieje możliwość, że wraz z upływem lat szczególnie utalentowane zawodniczki zaczną brać udział w testach lub sesjach treningowych F1, podobnie jak miało to miejsce kilkanaście lat temu.

Już teraz zespoły Formuły 1 coraz chętniej promują kobiety ze swoich akademii juniorskich – wyraźnie widać to na przykładzie Red Bulla i Mercedesa. Zespół kierowany przez Toto Wolffa w poprzednim sezonie promował Doriane Pin niemal na równi z Kimim Antonellem czy George’em Russellem. Być może w kolejnych latach kobiety zaczną odgrywać coraz większą rolę i piąć się po kolejnych szczeblach kariery w Formule 1. Na razie po zakończeniu startów w F1 Academy zawodniczki szukają swoich szans w innych seriach, głównie regionalnych. Zdarzało się też, że występowały w wyścigach długodystansowych czy w Formule E w roli kierowców testowych. Wiele z nich posiada potencjał, który w perspektywie kilku lat może uczynić je realnymi kandydatkami do świata F1.

Oliwia GARCZYŃSKA

Mistrzostwa świata w darcie 2025/26 były kolejnym etapem w przebijaniu się tego sportu do świadomości coraz większego grona kibiców. Turniej pokazał skalę zainteresowania, jakiej dart wcześniej nie notował. Potwierdził też, że z niszowej rozrywki stał się zjawiskiem o masowym zasięgu. Rosnąca popularność darta nie wydaje się chwilowym trendem, lecz staje się trwałym elementem współczesnego świata sportu.

Tegoroczne mistrzostwa świata w darcie odbyły się w słynnej hali Alexandra Palace w Londynie, jednym z najbardziej rozpoznawalnych dla tej dyscypliny miejsc. Wielka Brytania uchodzi zresztą za miejsce narodzin profesjonalnego darta, to tam dyscyplina cieszy się największą popularnością i to właśnie w tym kraju zorganizowano pierwsze prestiżowe zawody. Turniej zgromadził 128 zawodników z całego świata i trwał od 11 grudnia do 3 stycznia, przyciągając tłumy kibiców na trybunach oraz miliony widzów przed telewizorami. Mistrzostwa przebiegały w tradycyjnym formacie eliminacyjnym, od fazy pierwszej rundy aż do wielkiego finału. W decydującym starciu 19-letni Luke Littler obronił tytuł mistrza świata, zwyciężając nad Gianem van Veenem 7:1. Tym samym Anglik stał się czwartym graczem w dziejach, który obronił tytuł rok po roku. Holender van Veen, który dotarł do finału po wyeliminowaniu kilku utytułowanych rywali, niestety musiał uznać wyższość swojego przeciwnika. Triumf w Londynie przyniósł Littlerowi rekordową w historii mistrzostw nagrodę w wysokości miliona funtów.

W świecie darta obok młodych gwiazd, takich jak Luke Littler, swoje miejsce mają również zawodnicy o wyjątkowych historiach, które pokazują niezwykle możliwości tego sportu. Paul Lim wziął udział w tegorocznych mistrzostwach w wieku 71 lat, stając się tym samym najstarszym zawodnikiem w historii tych rozgrywek. Podczas turnieju rywalizował z zawodnikami, którzy często byli o połowę młodszy, co czyni jego obecność na sportowej scenie absolutnym ewenementem. Lim jest jedynym graczem, który od pięciu dekad utrzymuje się w światowej czołówce, a jego doświadczenie w grze było widoczne w każdym meczu. Równie niezwykła jest historia Ryana Searle'a, angielskiego zawodnika, który zmagają się z rzadką, dziedziczną chorobą oczu (ADOA). Podczas najważniejszych turniejów Searle czasami praktycznie nie widzi tarczy, a

Na fali popularności



Ratajski podczas meczu darta.

„Rosnące znaczenie darta nie jest efektem przelotnej mody, ale konsekwencją utrzymującego się zainteresowania. Przedłużenie umowy PDC (Professional Dart Corporation) z telewizją Sky Sports do 2030 roku za 125 milionów funtów potwierdza stabilność medialną dyscypliny, jednak o jej sile decyduje coś więcej niż kontrakty i oglądalność.

mimo to w tegorocznych mistrzostwach świata dostał się do finałowej czwórki. Jego choroba jest postępująca, co oznacza, że z każdym rokiem jego widoczność w grze będzie jeszcze bardziej ograniczona, jednak Ryan wciąż konkuruje na najwyższym poziomie, przyciągając uwagę fanów swoim niecodziennym sposobem gry.

Świetnie zaprezentował się również Krzysztof Ratajski, który ponownie potwierdził swoją silną pozycję w światowym darcie.

„The Polish Eagle” pokonał kolejno takich zawodników jak: Alexis Toylo, Ryan Joyce czy Luke Woodhouse. W meczu z Wesleyem Plaisierem wykonał niesamowity comeback, odrabiając stratę ze stanu 1:3 i ostatecznie zwyciężając 4:3 w trudnym, zaciętym spotkaniu. Jego przygoda z mistrzostwami świata zakończyła się w ćwierćfinale, w którym przegrał 0:5 z Lukiem Littlerem. Tym samym wyrównał największe osiągnięcie w historii polskiego darta,

powtarzając swój wynik sprzed pięciu lat. Sukces Ratajskiego jest tym bardziej imponujący, że sportowiec zmagając się w ostatnich latach z poważnymi problemami zdrowotnymi. W maju 2024 roku zdiagnozowano u niego tętniaki w mózgu, które wymagały dwóch operacji i wymusiły długą rekonwalescencję. Jego powrót do światowej czołówki i wysokie wyniki na mistrzostwach pokazują determinację oraz stały progres, potwierdzając, że jest gotowy na kolejne sukcesy i dalsze podnoszenie poziomu polskiego darta.

W ostatnich latach dart przechodzi prawdziwą transformację. Ze sportu postrzeganego jako niszowa rozrywka pubowa staje się widowiskiem oglądanym przez miliony na całym świecie. Dowodem na to są chociażby tegoroczne mistrzostwa, podczas których finał z udziałem Luke'a Littlera wygenerował szczytową

oglądalność 2,5 miliona widzów w Sky Sports, co stanowi rekord transmisji w historii tego sportu. Zainteresowanie darcie było widoczne także wśród widzów na żywo, ponieważ już na etapie przedsprzedaży wykupiono ponad 170 000 biletów. Równocześnie w Polsce telewizja TVP Sport po raz pierwszy pokazała pełne mistrzostwa świata, co znacząco zwiększyło zasięg transmisji i przyciągnęło nowych widzów. Pokazują to chociażby wyniki oglądalności ćwierćfinałowego meczu między Ratajskim a Littlerem, który przed odbiornikami śledziło niemal milion widzów.

Rosnące znaczenie darta nie jest efektem przelotnej mody, ale konsekwencją utrzymującego się zainteresowania. Przedłużenie umowy PDC (Professional Dart Corporation) z telewizją Sky Sports do 2030 roku za 125 milionów funtów potwierdza stabilność medialną dyscypliny, jednak o jej sile decyduje coś więcej niż kontrakty i oglądalność. Dart przyciąga przede wszystkim dlatego, że jest zrozumiały od pierwszego rzutu, nie wymaga zaplecza ani wieloletniego szkolenia, a emocje buduje już w kilka sekund. Widownia darta jest dziś wyjątkowo zróżnicowana i obejmuje zarówno młodszych, jak i starszych kibiców, którzy odnajdują w nim emocje, prostotę i autentyczność rzadko spotykaną we współczesnym sporcie. Zawodnicy tacy jak Littler czy Lim dodatkowo pokazują, że w tym sporcie wiek, pochodzenie czy warunki fizyczne nie definiują granic. W Polsce ten model dopiero się kształtuje, lecz rosnąca obecność darta w mediach i łatwy dostęp do gry sprawiają, że coraz więcej osób zaczyna postrzegać go nie jako ciekawostkę, lecz jako pełnoprawną dyscyplinę sportową z przyszłością.

Weronika NOWAK



Littler wyrósł na absolutną gwiazdę darta.

Podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Mediolanie i Cortina d'Ampezzo dużą uwagę polskich fanów przyciągną skoczkowie narciarscy, którzy przez lata stanowili trzon medalowych nadziei biało-czerwonych kibiców. Tym razem sytuacja jest inna, choć nie beznadziejna. Mimo że polska kadra nie prezentuje już poziomu sprzed kilku lat, to wciąż można liczyć na co najmniej przyzwoite występy w jej wykonaniu.

Na najważniejszą imprezę czterolecia trener naszej kadry – Maciej Maciusiak – mógł desygnować zaledwie trzech zawodników, co oznacza spore ciśnienie w stosunku do tego, ilu podopiecznych na ZIO mogli wysłać poprzedni szkoleniowcy. Przykładowo, podczas ostatnich trzech Igrzysk – w Soczi, Pjongczangu i Pekinie – Polaków reprezentowało aż pięciu zawodników. Co prawda w konkursach zawsze udział mogło brać tylko czterech Biało-Czerwonych, jednak rezerwa w postaci jednego skoczka zawsze stanowiła o większym komfortie i lepszym położeniu kadry.

Nie ma jednak co płakać nad rozlanym mlekiem, ponieważ sztab musiał – kolokwialnie pisząc – lepić z tego, co jest. Do Włoch postanowił wysłać Kamila Stocha, Kacpra Tomasiaka i Pawła Wąska. Jeszcze kilka tygodni temu mogło się wydawać, że rzutem na taśmę do kadry na ZIO załapie się któraś z legend – Dawid Kubacki lub Piotr Żyła – jednak do tej pory zdecydowanie odstawali oni od reszty. Ci zawodnicy nie otrzymali więc szansy, by pożegnać się z Zimowymi Igrzyskami Olimpijskimi, które przez lata były dla polskich skoków dodatkowym, medalowym motorem napędowym. Regularnie od ZIO w Salt Lake City (2002 rok), z wyjątkiem igrzysk w Turynie (2006 rok), skoczkowie występujący pod biało-czerwoną banderą przywozili bowiem do kraju choćby jeden krążek. Łącznie w XXI wieku najpopularniejszy zimowy sport przyniósł Polsce aż dziewięć miejsc na podium.

Ostatni taniec mistrza

Znowu wyskaczą medale?



Na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich wystąpi trzech polskich skoczków

„Patrząc pod względem czysto sportowym, medalowych szans u polskich skoczków należy wypatrywać właśnie u Kacpra Tomasiaka.

Pytanie jednak, czy na tak ważnych zawodach młokosa nie zje presja – w przeszłości potrafiła ona przecież plątać nogi największym na świecie, a dla Polaka obecna kampania 2025/26 jest pierwszą na tak wysokiej intensywności.

Przy zapowiedzi występów polskich skoczków na obiektach usytuowanych w malowniczym Predazzo na pierwszy plan wysuwa się pożegnanie z igrzyskami olimpijskimi Kamila Stocha, który dla generacji Z bezsprzecznie stał się jednym z pokoleniowych idoli sportowych. Dzięki trzem złotym medalom (dwa w Soczi i jeden w Pjongczangu) skoczek z Zębu jest niekwestionowanym liderem kraju w klasyfikacji zdobytych najwyższych, zimowych olimpijskich laurów. W liczbie złotych medali zdobytych przez polskich sportowców zarówno podczas letnich, jak i zimowych igrzysk Stoch ustępuje tylko chodźarzowi Robertowi Korzeniowskiemu, który ma na swoim koncie o jedno złoto więcej.

W tym roku, biorąc pod uwagę jego ostatnie występy (w okolicach drugiej, czasami trzeciej dziesiątki), trudno oczekiwać od Stocha walki o medale. Biorąc jednak pod uwagę

fakt, że sezon 2025/26 jest ostatnim w jego karierze, można spodziewać się maksymalnego zaangażowania i walki o jak najwyższe lokaty.

Dla 38-latką będą to już szóste igrzyska. Wcześniej Stoch reprezentował Polskę podczas imprez w Turynie (2006), Vancouver (2010), Soczi (2014), Pjongczangu (2018) i Pekinie (2022). Pomimo trzech złotych medali zdobytych w konkursach indywidualnych oraz jednego brązowego medalu wywalczonego w „drużynówce” w 2018 roku, Stoch ma z igrzyskami pewne rachunki do wyrównania. W trakcie zawodów w Pekinie na dużej skoczni Polak zajął bowiem najbardziej niewdzięczne dla sportowca czwarte miejsce. Ten moment złamał serce nie tylko zawodnikowi, ale także milionom kibiców, którzy po konkursie oglądali zapłakanego Stocha przed kamerami Eurosportu. Oczywiście autor 39. zwycięstw w Pucharze Świata nie musi już nic udo-

wadniać – jest przecież jednym z najlepszych w swojej profesji w historii. Jednak ostatni akord w postaci dobrego występu na wieńczących karierę Igrzyskach z pewnością byłby idealnym pożegnaniem się z zawodami, na których w przeszłości dawał polskim kibicom tak wiele radości.

Debiut bez kompleksów

Obecny sezon można uznać za symboliczną zmianę warty w reprezentacji Polski między Stochem a Kacprem Tomasiakiem, dla którego premierowa kampania w Pucharze Świata do tej pory okazuje się wprost wspaniałą. Skaczący bez żadnych kompleksów Tomasiak regularnie melduje się w najlepszej dziesiątce zawodów, a jednym z jego największych sukcesów jest wywalczone na początku roku 12. miejsce w klasyfikacji generalnej Turnieju Czterech Skoczni. W ostatnich miesiącach urodzony w 2007 roku zawodnik potrafił także między innymi osiągać piąte lokaty podczas zawodów w Wiśle czy Engelbergu.

Patrząc pod względem czysto sportowym, medalowych szans u polskich skoczków należy wypatrywać właśnie u Kacpra Tomasiaka. Pytanie jednak, czy na tak ważnych zawodach młokosa nie zje presja – w przeszłości potrafiła ona przecież

plątać nogi największym na świecie, a dla Polaka obecna kampania 2025/26 jest pierwszą na tak wysokiej intensywności.

Póki co Tomasiak radzi sobie kapitalnie, a w rozmowach sprawia wrażenie skupionego na celu, jakim jeszcze do niedawna były... marcowe Mistrzostwa Świata Juniorów. Czas pokazał jednak, że będzie musiał zrewidować plany, by najlepszą formę przygotować na pierwszą połowę lutego i rywalizację olimpijską. Sam skoczek hamuje jednak oczekiwania kibiców. W rozmowie dla TVP Sport Tomasiak stwierdził bowiem, że już teraz wyciska maksimum ze swoich możliwości.

Pozytywna zmiana?

W trakcie zbliżających się Zimowych Igrzysk Olimpijskich będziemy mieli również do czynienia ze sporą zmianą organizacyjną samych zawodów, ponieważ z kalendarza zniknie klasyczny konkurs drużynowy. Zostanie on zastąpiony rywalizacją duetów, co jest jednym z powodów znaczącego uszczuplenia kwoty startowej nie tylko dla Polaków, ale także innych reprezentacji.

Dla kadry Biało-Czerwonych taka zmiana ma raczej pozytywny charakter, przede wszystkim ze względu na chłodną kalkulację – zwyczajnie nie byłibyśmy w stanie wystawić czterech zawodników będących w stanie rywalizować o najwyższe laury. Jednym z faworytów w tym konkursie bezsprzecznie będą Słoweńcy, których najpewniej reprezentować będzie tegoroczny dominator Domen Prevc wraz z przyzwoitym i nieschodzącym poniżej pewnego poziomu Anze Lanišiem.

Co do Polaków, to najbardziej prawdopodobny skład Stoch – Tomasiak może naprawdę namieszać. Skoczkowie, pomiędzy którymi jest aż 20 lat różnicy z pewnością zrobią wszystko, aby zakręcić się w okolicy podium. Biało-Czerwoni swoje możliwości w tej konwencji pokazali już podczas Pucharu Świata w Zakopanem, gdzie Tomasiak w parze z Dawidem Kubackim zajęli trzecie miejsce, ustępując Austriakom i Słoweńcom. Wówczas do zimowej stolicy Polski nie przyjechali jednak najlepsi Japończycy czy Niemcy, więc rezultat ten należy traktować z pewną dozą ambiwalencji.

Mateusz DUKAT

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra

Wydawca: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, ul. Umultowska 89a, 61-614 Poznań.

Redakcja: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, Uniwersytetu Poznańskiego 5, pokój 150, 61-614 Poznań

email: fenestra.uam@gmail.com, **facebook:** www.facebook.com/gazeta.fenestra

ISSN 2658-2023



Redaktor naczelny:

Igor Dziedzic

Zastępczyni redaktora naczelnego:

Julia Zygmunt

Sekretarz redakcji:

Julia Zygmunt

Szef działu socjal mediów i grafiki:

Szymon Bernas

Redaktor działu sport:

Igor Dziedzic

Redaktor działu polityki i społeczeństwa:

Oskar Kmak

Redaktor działu kultura:

Szymon Filipiak

Szef działu foto:

Marcin Klonowski

Koordinator ds. warsztatów:

Aleksandra Gręda

Social media i grafika:

Sofia Drost

Klaudia Karlińska

Maria Kluga

Gabriela Majka

Olga Musiał

Zuzanna Prusiewicz

Martyna Remlein

Daria Rzemyszkiewicz

Barbara Sachek

Adrianna Seite-Jastrzębska,

Pola Wozniak

Maryja Wasileuskaya

Korekta:

Klaudia Drzycimska

Hanna Jaskula

Matylda Kolomyjczuk

Martyna Kościelna

Julia Kozerska

Agata Kurpisz

Weronika Malecka

Jan Mazurczak

Olivia Syrek

Amelia Ogrodowczyk

Aleksandra Alicja Pasyńska

Sonia Szymała

Justyna Wierczok

Pola Wozniak

Redakcja:

Jacek Adamczak

Jakub Baliński

Szymon Bernas

Damian Biegański

Olivia Błazik

Kamila Cholewicka

Marianna Czmochońska

Mateusz Dukat

Bartosz Dworczak

Jakub Fenrich

Szymon Filipiak

Olivia Garczyńska

Kaja Grabowiecka

Aleksandra Gręda

Alicja Helak

Matylda Jankowska

Kinga Kalinowska

Bartłomiej Kapuściński

Serhii Khodiev

Marcin Klonowski

Martyna Kocorowska

Zuzanna Kolacz

Amelia Kolańczyk

Martyna Kościelna

Nicole Krakowska

Emilia Krukowska

Kacper Lawiński

Weronika Markowicz

Olivia Maziopa

Aleksandra Mizera

Natalia Mrula

Paulina Ogłoszka

Valeria Petrovskaya

Maria Pilara

Stanisław Piotrowski

Piotr Rydz

Jakub Samowski

Jakub Soberski

Jagoda Suwała

Roksana Świętochowska

Leo Targoni

Anna Tomczak

Inga Twaruzek

Aleksandra Urbaniak

Wojciech Waehner

Małgorzata Walkowiak

Martyna Witkowska

Opiekunka redakcji:

Aleksandra Komieczna

Skład

Tomasz Szulka

Strona internetowa

www.gazetafenestra.pl

Facebook

www.facebook.com/gazeta.fenestra

Instagram

gazetafenestra

Twitter

twitter.com/FenestraGazeta

Maksymilian Wysokiński

Paulina Zielińska

Pola Zych

Julia Zygmunt

Druk

Drukarnia w Bydgoszczy

ul. Grunwaldzka 229

85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie

prawo do redagowania

i skracania nadesłanych

tekstów.